

Rok XXVI

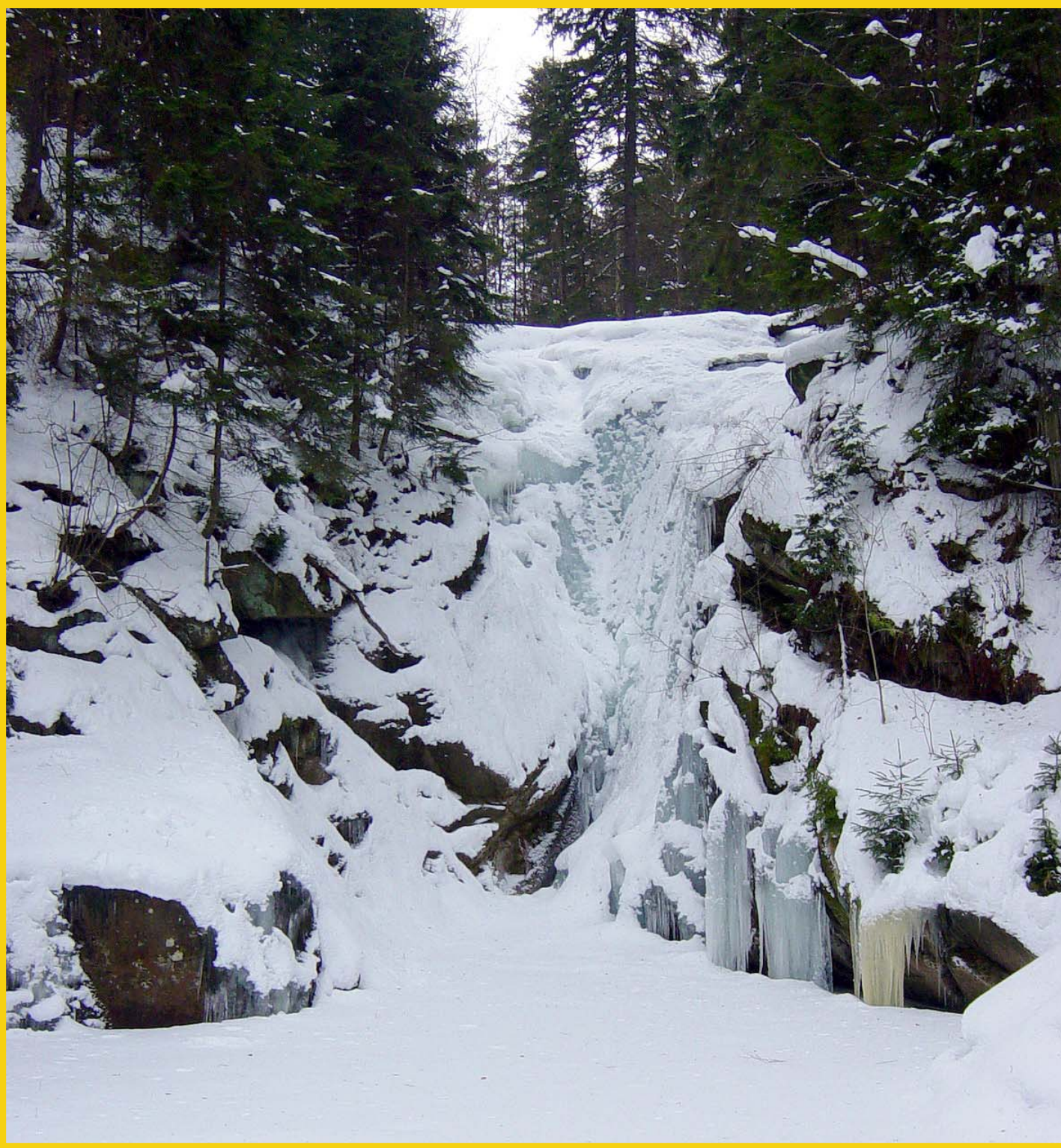
Nr e-64 (260)

Luty 2012

NA SZLAKU

Turystyka - Krajoznawstwo - Góry

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego



Z NASZEGO REGIONU

Kilka przygód z turystyki rowerowej początkującego rowerzysty	<i>Hubert Łęgosz</i>	3
Z Jerzym Organiściakiem o Masywie Brzeźnicy	<i>Monika Babło</i>	5
Nowa tablica pamiątkowa	<i>Andrzej Rumiński</i>	10

OJCZYZTE SZLAKI

Wielkopolska murowana	<i>Marcin Husak</i>	11
Miechów – Małopolska Jerozolima	<i>Stanisław Dziuba</i>	12
Ciekawostki czy zawałdrogi?	<i>Juliusz Wystouch</i>	14

TRASA MIESIĄCA

Przez Wzgórza Dobrzeńskie	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	16
---------------------------------	------------------------------------	----

GLOBTROTER

Łużycki Drożdżij	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	19
Wybrzeże Kości Słoniowej (3)	<i>Krzysztof Zadros</i>	21
Ermitaż	<i>Janusz Fuksa</i>	22

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Symposium górskie w Krakowie	<i>Krzysztof Tęcza</i>	24
Nauczyciele Przewodnikami Turystyki Górskiej	<i>Maciej Maśliński</i>	26
40 lat przyjaźni	<i>Waldemar Jankowski</i>	27
Jeleniogórska Ścieżka Filmowa	<i>Krzysztof Tęcza</i>	28
Noworoczne spotkanie przewodników turystycznych	<i>Wojciech Radliński</i>	30
„Dolnośląski krajobraz kalejdoskopem jest”	<i>Małgorzata Krawiec,</i> <i>Anna Sowińska</i>	31
Ciekawe zjawisko	<i>Juliusz Wystouch</i>	32

PORADNIK TURYSTY

Beskidy to też góry	<i>Juliusz Wystouch</i>	33
---------------------------	-------------------------------	----

NA KOLEKCJONERSKIM SZLAKU

Fotografia elektroniczna (2)	<i>Henryk Hadasz</i>	35
Z zielnika Rostańskiego (24)		36

RECENZJE, NOWOŚCI

Królewna Marianna prowadzi po swoim szlaku	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	37
Trzy książeczki o Dolsku	<i>Grzegorz Ratajski</i>	38

LISTY, OPINIE, DYSKUSJE

Samotnie w góry (2)	<i>Krzysztof Tęcza</i>	39
---------------------------	------------------------------	----

Na okładce: Wodospad Szklarki w Karkonoszach w zimowej szacie. Fot. Piotr Dacko

Kilka przygód z turystyki rowerowej początkującego rowerzysty

Rower to piękna sprawa. Nie ważne, gdzie się udajemy, w góry, nad morze czy niziny, rower możemy wziąć ze sobą praktycznie wszędzie. W rowerze piękne jest to, że kiedy siądzie się na siodełko, złapie za chwyt i naciśnie na pedał, czuje się wolność. Jak napisał Lech Janerka w tekście swojej piosenki: „Jadę na rowerze, słuchaj, do byle gdzie, rower mam, posłuchaj, w taki różowy jazz..”, takie odczucia towarzyszą, a przynajmniej ja mam takie wrażenia z jazdy rowerem. Ale na wstępie trzeba powiedzieć, czym jest według powszechnej regułki owy przyrząd zwany rowerem?

Trzeba wyjaśnić wpierw, jakie rodzaje rowerów możemy wymieść w zależności od ich przeznaczenia. Najpopularniejsze i łatwe do wypatrzenia to:

- miejskie – do jazdy po mieście; posiadają zazwyczaj koła 28 cali, wygodne siodełka, pełne oświetlenie, bagażniki, błotniki, opony o niskim oporze toczenia, coraz częściej przedni amortyzator i odpowiednią liczbę biegów, by wygodnie jeździło się po mieście i poza nim,

- trekkingowe – podobne właściwości jak rower miejski, z tym, że rama powinna być lżejsza i bez obaw można było zjechać na drogę ziemną lub leśną ścieżkę,

- wyścigowe szosowe – maszyna do jazdy po twardej, asfaltowej nawierzchni na 28-calowych kołach. Całość waży kilka kilogramów. System napędowy pozwala na korzystanie co najmniej z kilkunastu przełożeń, a geometria ramy wymusza pochyloną, niezbyt wygodną sylwetkę rowerzysty,

- BMX – rower na małych – 20-calowych kołach o mocnej konstrukcji z małą ramą. Służą do uprawiania akrobacji na różnego rodzaju przeszkodach oraz hopkach ziemnych,

- MTB czyli Mountain Bike – jest ich kilka rodzajów ze względu na przeznaczenie, jednak, ogólnie rzecz biorąc, są to w lekkie, wytrzymałe rowery przeznaczone do jazdy od łatwego do bardzo trudnego terenu górskiego. Te z wyższej półki, wyposażone w zaawansowany technologicznie osprzęt, potrafią (przy pomocy rowerzysty) pokonać trasę, którą niejedna osoba nie chciałaby przejść. Tu nie są potrzebne lampki, błotniki, bagażniki czy dzwonki. Im mniej, tym lepiej. Rowery wysokiej klasy posiadają przedni i tylni amortyzator, czyli to tzw. „full”.

Moja przygoda z rowerem, jak u większości chłopaków, zaczęła się od lat szkoły podstawowej. Wtedy to moim pierwszym rowerem był nieco za dużych rozmiarów rower typu BMX z wielce wygodnym, plastikowym siodełkiem, potem dostałem używany rower miejski marki *Propethe*, który również nie był idealnie dopasowany do moich rozmiarów, ale oczywiście jako chłopak cieszyłem się ze wszystkiego, co miałem. Gdy byłem w gimnazjum, moim kolejnym jednośladem został kupiony za 300 zł czarny rower „górski”. Jeździłem nimi wszystkimi po moim osiedlu i całym mieście jak szalony, wydawało mi się, że jeżdżę najszybciej i najlepiej. Wtedy to też poznałem osoby, które miały „zajawkę” na rowery. Wymieniali części na lepsze, wymyślali, co by w rowerze poprawić, żeby jeździł lepiej, i trzymali się razem jako jedna grupa. Bardzo mi się to spodobało i, chcąc nie chcąc, zacząłem inwestować w mój rower. Po wymianie hamulców, przerzutki, manetek, kierownicy, kół i wspornika od siodełka (czyli praktycznie wszystkiego oprócz ramy) zacząłem wyjeżdżać poza obręb miasta i od tego momentu złapałem bakcyła rowerowego. Zwiedziłem okoliczne wioski, jednak prawdziwa przygoda z rowerem miała się zacząć, gdy znalazłem się w liceum. Szczęście, bądź nieszczęście chciało, żeby obok mojej nowej szkoły mieścił się sklep rowerowy, w którym uprzednio zaopatrywałem się w części. Patrzyłem z zazdrością na te wszystkie porządne rowery i możliwości, jakie

oferują. Postanowiłem, że zbieram odpowiednią sumę i z pomocą rodziców kupię sobie wymarzony rower. Druga klasa liceum przyniosła mi nowy, z prawdziwego zdarzenia rower MTB XC, czyli Mountain bike cross country. To klasyczny rower górski, przeznaczony do jazdy w trudnym terenie, oparty na wysokiej klasy podzespołach, zapewniających wysoką niezawodność i efektywność. Niezwykle zadowolony z zakupu początkowo jeździłem nim ostrożnie, by nic nie zepsuć, ale gdy się do niego przyzwyczaiłem, zacząłem robić pierwsze wypadki w Góry Sowie. Zaopatrzyłem się w porządną kask, bo ochrona głowy to podstawa, oraz odpowiednie rowerowe ubrania. Początkowo nie jeździłem wysoko, bo jakże miałem to robić bez formy i technicznego przygotowania. Moim granicznym miejscem, do którego dojeżdżałem była Przeł. Jugowska (805 m), dalej brakowało mi sił.

Po około roku czasu dałem się namówić na pedały SPD, czyli popularnie zwane zatrzaski. Początkowo bałem się ich, bo stopy są przypięte do pedałów i jak niby sobie w nich radzić w trudnym terenie, ale już po pierwszej górskiej próbie doceniłem ich ogromną liczbę zalet, ale i małe kłopoty, jakie mogą przysporzyć, co opiszę w dalszej części. Obecnie nie wyobrażam sobie jazdy w trudnym terenie nie będąc przypiętym do roweru. Wraz z kupnem pedałów otworzyły się dla mnie wszystkie szlaki moich ukochanych gór i mogłem trenować swoją formę, technikę i czerpać coraz to więcej zabawy i przyjemności z jazdy.

Pamiętny wjazd na najwyższy szczyt Gór Sowich – Wielką Sowę (1015 m)

Wyjazd o godzinie 9:30, zanim lipcowe powietrze nie było jeszcze takie gorące. Trasa: Dzierżoniów – Bielawa, przeł. Trzy Buki – Przeł. Jugowska – Wielka Sowa – Przeł. Walimska – Kamionki – Pieszycy – Dzierżoniów.

Droga polna do Bielawy, miejscowości leżącej u podnóża Gór Sowich, została szybko pokonana i po 30 min podjeżdżamy na pierwszy przystanek, przeł. Trzy Buki. Obraliśmy sobie trasę mało uczęszczaną przez ludzi, by móc spokojnie jechać i nie oglądać się na nikogo. Po pierwszym kilometrze podjazdu po delikatnie mokrych kamieniach i korzeniach rower nie chce jechać. Spojrzałem się intuicyjnie na tylne koło i moim oczom ukazała się opona bez powietrza. „Pięknie się zaczyna”, pomyślałem, ale nigdy nie wyjeżdżam z domu bez małego zestawu naprawczego i po kilkunastu minutach dętka została załatana i jazda mogła być kontynuowana. Nasza droga, a w zasadzie nieco szersza ścieżka, zamieniła się w błotnistą papkę, niekiedy sięgającą po pedały. Między innymi w takich sytuacjach pedały SPD są nieocenione. Jedna noga na pedał naciska, druga podciąga go do góry i przy pomocy opanowania utrzymania równowagi i odpowiedniej opony o agresywnym bieżniku jazda była możliwa. Przejazd przez ten spory błotny odcinek przeszedł dość gładko, choć koło ślizgało się na mało przyczepnej powierzchni, natomiast mój kompan w pewnym momencie miał mniej szczęścia. Jego ogumienie nie miało wgrzyzającego się w podłoże bieżnika i utknąwszy w błocie, nie zdążył wypiąć się z pedałów i, jak łatwo się domyśleć, wyładował twarzą w błocie. Nie powiem, rozbawiło mnie to, natomiast Krzyškowi, bo tak mój kolega ma na imię, do śmiechu nie było, ale w końcu każda tego typu sytuacja uczy czegoś nowego. Ochłapani błotem ruszyliśmy dalej.

Dalsza podróż na szczyt przebiegała bez większych przygód. Jak zwykle, wodę w bidonach uzupełniliśmy z bijącego ze zbocza źródła i posililiśmy się smacznymi rodzynkami, które dają tyle samo energii, co drogie batony energetyczne. Po osiągnięciu szczytu postawiliśmy na krótki odpoczynek w cieniu wysokich świerków i po około 20 min. ruszyliśmy w drogę powrotną, na Przeł. Walimską, by stamtąd drogą asfaltową dojechać do Kamionek, potem Pieszyc i mojego miasta rodzinnego Dzierżoniowa.

Widok ze szczytu na Sudety, jak zwykle, piękny. Tego dnia było dobrze było widać Śnieżnik. Ruszamy w drogę powrotną i nagle coś strzela mi w zespole napędowym. Pierwszą myślą było, że łańcuch źle ułożył się na zębatce i nie zaskoczył na swoje miejsce i tego się trzymałem. Jednak po ujechaniu 30 m okazało się, że łańcuch na dwóch ogniwach jest skrzywiony. Do dziś nie wiem, jak to się mogło stać. Naprawa bez narzędzi nie wchodziła w grę, a próba prostowania za pomocą kamienia mogła tylko pogorszyć sytuację. Postanowiłem więc powoli jechać. Od samego szczytu do przełęczy trasa była zjazdowa z kilkoma dłuższymi bezspadkowymi odcinkami. W wielu miejscach pokryta była warstwą spływającej ze zbocza wody, która podrywana przez przednią oponę chlapała na twarz. Było bardzo ślisko, a w niektórych miejscach przednie koło traciło dobry kontakt z nawierzchnią,

jednak grunt to opanowanie. Bez pedałowania udało mi się dojechać połowę odległości, jaka dzieliła nas do przełęczy. Wtedy, przy próbie pedałowania na płaskim odcinku, łańcuch się zerwał. Prawdę mówiąc, sytuacja mnie rozśmieszyła, nie mówiąc o koledze, który chciał zapewne odgryźć się za swoje błoto. Jednak z drugiej strony nie podobała mi się wizja prowadzenia roweru przez drugą połowę drogi do Walimskiej. Jedyнным rozwiązaniem był hol za pomocą długiej gałęzi. Zwracaliśmy tym samym na siebie uwagę turystów, ale każda przygoda uczy czegoś nowego. Udało się dojechać do Przeł. Walimskiej, skąd droga asfaltowa miała zaprowadzić do domu, z tym, że od Pieszyc droga do Dzierżoniowa jest płaska. Nie zaprzętałem sobie jednak tym głowy i udało się, przyjąwszy jak najbardziej aerodynamiczną pozycję, bez napędu dojechać do Pieszyc. Tam, jakby wszystkiego miało być mało, najprawdopodobniej moja łańka na dziurawej dętce przestała spełniać swoje zadanie. Uparcie chciałem dojechać jak najdalej, jednak doszedłem do wniosku, że bez powietrza w oponie i łańcucha dalsza jazda jest bezcelowa i musiałem zadzwonić po transport samochodowy.

Dlaczego przytoczyłem akurat tę przygodę z rowerem? Ponieważ podczas niej dobitnie uświadomiłem sobie, że rzeczy martwe są tylko rzeczami martwymi i wszystko może się zdarzyć, w najmniej oczekiwanym przez nas momencie. A piękno przyrody, jakie możemy spotkać w górach, nawet tak nieoczekiwane zdarzenia może zmienić w zabawne i tkwiące w pamięci przeżycia.

Cdn.

Hubert Łęgosz

Z Jerzym Organiściakiem o Masywie Brzeźnicy

Dzień dobry.

Witam.

Zacznijmy od tego: czym się Pan zajmuje?

Jestem przewodnikiem, działaczem turystycznym w Ząbkowicach Śląskich od 1968 r., prowadzę Agencję Reklamowo-Handlową oraz jestem radnym pow. ząbkowickiego.

Jakie projekty turystyczne realizował Pan w ostatnim czasie?

Turystyką zajmuję się hobbystycznie, więc nie realizuję projektów jako takich. Działam w organizacji społecznej, którą zakładałem jeszcze jako lokalną organizację turystyczną w 2002 r. oraz jestem radnym pow. ząbkowickiego i w ramach powiatu staram się wymyślać jakieś produkty turystyczne, aby trochę ożywić turystykę w tym rejonie oraz żeby zachęcić ludzi do przyjazdu tutaj. W tym kierunku staram się działać. Na przykład, jestem współautorem ścieżki po Przedgórzu Sudeckim, która prowadzi od Gór Sowich, z Przełęczy Woliborskiej do Kamieńca Ząbkowickiego. Taki Książęcy Kamień znajdujący się w Sulisławicach, nawiązujący do historii tej miejscowości: postawiliśmy replikę tego kamienia, który tam kiedyś istniał jeszcze w XIX w. Chcemy spopularyzować tego typu obiekty. Chcę pobudzić turystykę w Ząbkowicach Śl. poprzez remont zamku i mam nadzieję, że wreszcie władze samorządowe za to się wezmą i zdołamy przekształcić zamek w trwałą ruinę i tam uruchomić działalność gospodarczą.

Co z projektem uruchomienia hotelu na terenie ruiny zamku ząbkowickiego?

Był to projekt za poprzedniego burmistrza, ale raczej nie pójdziemy w tym kierunku. Będziemy starać się, aby zrobić projekt, który kiedyś był rozpoczęty, lecz nie został skończony, prof. Mirosława Przyłęckiego, polegający na przekształceniu w trwałą ruinę z przeznaczeniem na cele kulturalno-rozrywkowe, przynajmniej na razie.

Co Pan sądzi o potencjale turystycznym Masywu Brzeźnicy?

Jest to teren bardzo ciekawy, można powiedzieć – kolebka górnictwa. Na tym terenie odkryto magnezyt. Jest tam mnóstwo ciekawych obiektów i różnych reliktyw dawnego górnictwa i aż się prosi, żeby coś tam stworzyć. Chciałbym stworzyć szlak „Reliktami dawnego górnictwa”. Jest tam



Jerzy Organiściak

pewna ilość kopalń, na Bukowczyku i ogólnie na terenie Masywu Brzeźnicy można by było zrobić coś w rodzaju ścieżki dydaktycznej i przy okazji pokazać forty ziemne. Mamy taki pomysł i kiedyś już myśleliśmy o rozpoczęciu działań, ale na razie nie było czasu się za to zabrać.

Proszę coś więcej opowiedzieć o tym szlaku.

Myślałem o takim szlaku turystycznym, ścieżce dydaktycznej, która zaczynałaby się w Braszowicach, prowadziła przez Bukowczyk wzdłuż dawnych kopalni, tak jak prowadzą ich ślady. Raczej na wejścia w podziemia nie ma szans, chociaż niektórzy penetrują te kopalnie cały czas i znam kilka takich osób. Kopalnia „Szczęść Boże” jest cała zasypana śmieciami. Można było w podziemiu wejść do kopalni „Konstanty” w latach 80., ponieważ wchodziliśmy do trzeciego poziomu, gdzie była fabryka zbrojeniowa, jednak teraz absolutnie zakazują wejścia. Więc zwiedzanie podziemi raczej nie wchodzi w rachubę, jedynie co, to można by było zobaczyć te kopalnie z zewnątrz, choć niewiele zostało, ale można by było postawić tablice opisujące, co gdzie się znajdowało. Przejść z Braszowic w górę i potem bokiem Bukowczyka do ostatniego fortu w dół, przejść później na drugą stronę, gdzie była kopalnia „Telma”, bo tam były też złoża rud niklowych. Po drodze kopalnia „Szczęść Boże”, forty, bo tam jest ich kilka, później kopalnie „Grochów”, i tak dalej, aż do Przeł. Żdanowskiej koło Kolonii Budzowskiej. Tak więc taka ścieżka dydaktyczna byłaby ciekawa. Ponadto pięknym miejscem widokowym byłaby Brzeźnica, tylko trzeba by było ją trochę przygotować na górze. Znajdują się tam ładne malownicze skałki, trzeba by było zrobić polanę widokową i postawić wieżę widokową wysokości około 20 m, taką jak np. na Czarnej Górze, platformianą, i można by było podziwiać piękny widok, który się tam rozciąga, na Sudety Wschodnie, aż po Wielką Sowę i na całe Obniżenie Żąbkowickie, dolinę Nysy Kłodzkiej. To można na pewno zrobić i, jak dobrze pójdzie, to nakłonilibyśmy powiat, żeby w tym kierunku zacząć działać. Natomiast większego zagospodarowania tam się nie zrobi, bo w zasadzie wszystko tam są relikty, które *de facto* już nie istnieją, są jedynie ślady po nich. Trzeba by było poprosić nadleśnictwo, aby wydało zgodę na usunięcie drzew, aby podkrywać te dawne wyrobiska i troszeczkę geologii można by było tam pokazać. Znajduje się tam serpentynit pomieszany z gabrem i skałami przeobrażonymi, tam też był węgiel, znajdowała się kopalnia „Hendriette”, która krótko działała. Ponadto na tym terenie był kiedyś piec za czasów, gdy jeszcze magnezyt wykorzystywany był jako środek czyszczący, jeszcze go nie znano jako środka do produkcji cegły

ogniotrwałej. Znajduje się on za majątkiem, w krzakach, zaraz jak wjeżdża się do Brzeźnicy naprzeciw zakładów magnezytowych. Jak jedzie się od strony Braszowic w dół, jest droga do Grochowej z jednej strony, zaraz potem jest droga do kopalni, to niedaleko w dół są zakłady magnezytowe, jeszcze kawałek dalej za rzeczką Studew, po prawej stronie są dwa domki i jest tam stary dom z herbem z dwoma toporkami. Kiedyś gospodarstwo to należało do rzeźnika ząbkowickiego, który hodował tam krowy i była tam rzeźnia, a wcześniej to należało do komandorii św. Jerzego w Ząbkowicach Śląskich, jako majątek tego zakonu, a później miasta. Właśnie z tyłu za tym domem w krzakach znajduje się ten piec hutniczy jeszcze z okresu XIX-wiecznego. Można by było go też pokazać przy szlaku, który później prowadziłyby w górę przez kolejne relikty, np. na zboczu Brzeźnicy jest kawałek chodnika z dawnej kopalni „Stara”. Dariusz Wójcik i Krzysztof Krzyżanowski publikują w „Sudetach” cały czas i są oni fascynatami właśnie tego regionu i badali wszystkie te kopalnie i wyrobiska, jakie tu zostały, i piszą na ten temat dość dużo. I między innymi właśnie penetrują te kopalnie, ale nie nadają się one raczej do udostępnienia, ja bym się bał tam wchodzić. Podsumowując, można by było zrobić ścieżkę krajoznawczą pokazującą historię górnictwa w tym rejonie, która moim zdaniem jest ciekawa i można by było ją wykorzystać i przy okazji spopularyzowałoby to ten teren i zaktywizowało mieszkańców. Jest to ładna ścieżka. W ubiegłym roku zrobiliśmy w Brzeźnicy taką ścieżkę do rezerwatów, która zaczyna się na skrzyżowaniach przy Domu Kultury w Brzeźnicy i prowadzi w górę, jeszcze nie jest dobrze oznakowana, ale to jest kwestia czasu. Ma ona 10 km, idzie z dołu do rezerwatu *Cisowa Góra, Cisy*, a potem wraca z powrotem i można by z nią nawet połączyć ten szlak kopalniami i myślę, że to by trochę spopularyzowało ten teren. Jak wiadomo, musi być coś ciekawego, aby ludzie zaczęli przyjeżdżać. Jak zaczną przyjeżdżać, to uruchomią mechanizm inwestowania, ludzie zobaczą, że warto coś otworzyć, np. jakąś gastronomię czy agroturystykę. Jak na razie, to jest tego mało. Z tego, co wiem, w Brzeźnicy m.in. pan Cieśla posiada taką działalność. Jest to bardzo ładna wieś, pięknie położona i warto by razem połączyć jedno z drugim.

Wracając do fortów w Masywie, co Pan sądzi o wykorzystaniu ich do napędzenia turystyki?

Niektóre z nich się całkiem nieźle zachowały i jak najbardziej trzeba by było to po prostu pokazać i wykorzystać, tym bardziej, że nie ma takich fortów nigdzie indziej na Śląsku. Należałoby je uwidocznnić, czyli wyciąć trochę zadrzewienia, bo drzewa rosną w środku fortów. Zrobić przy nich tablice informacyjne mówiące o nich. Tak jak mówiłem już wcześniej, dołączyć je do tego szlaku „reliktami dawnego górnictwa” i jednocześnie dziedzictwa kulturowego. Trudno by było zrobić to osobno, tym bardziej, że one by się pokrywały, bo są na tej samej drodze.

Czego Pana zdaniem najbardziej brakuje na tym terenie, co najbardziej by się przydało?

Jest mi trudno powiedzieć, co by się przydało, bo takie rzeczy robi się pod ludzi, trzeba najpierw wiedzieć, jakie są preferencje. Na pewno nie robi się tu takiej turystyki, jak na Ziemi Kłodzkiej, bo to nie ta tradycja ani możliwości. Turystyka krajoznawcza jest dość specyficzna, a po oznakowaniu tego szlaku byłby on raczej dla hobbystów, a to są ludzie, którzy coś by pozwiedziali, ale trochę tych hobbystów też jest, więc podejrzewam, że byłoby zainteresowanie. Bo byłoby to coś podobnego do otwartej przez nas ścieżki po Przedgórzu Sudeckim na północ, która przechodzi przez Kluczową, Szklary i wszystkie wsie po drodze i coś o tych wsiach mówi. Dużo tam ludzi nie chodzi, ale zawsze ktoś tamtędy przejdzie, bo wyczyta np. w internecie. Należałoby także stronę internetową zrobić, i byłby to kolejny produkt turystyczny. Nie robi się tam wielkiej turystyki, bo jest ona taka, że musi być i dobra reklama, i muszą przyjechać ludzie, dopiero zaczyna się rozwijać infrastruktura. Samorządy mogą zainicjować szlak, zrobić ścieżkę i za to zapłacić i mam nadzieję, że to zrobią, ale później to już musi to być w rękach ludzi. Także myślę, iż Brzeźnica niewątpliwie ma szansę stać się wsią agroturystyczną i powoli się rozwinąć w tym kierunku. Bo znajduje się ona w centrum, są tam ładne stawy, które zrobił między innymi Cieśla oraz parę innych ciekawostek na pobyty niedzielne, weekendowe. Gdyby było więcej gospodarstw agroturystycznych, to na pewno ludzie by tu zaczęli przyjeżdżać i pewnie będą. Wystarczyłoby nawet, jak ma w zamiarze pan Cieśla wokół stawów na dole przy kopalni, postawić domki kempingowe czy coś takiego. I on pewnie to robi, to też by ściągało turystów. Czyli tu najlepsza byłaby turystyka weekendowa i pobytowa w gospodarstwach agroturystycznych. A wracając do szlaku dotyczącego górnictwa, o którym mówiłem, to byłby szlak krajoznawczy, żeby ludzie się dowiedzieli czegoś ciekawego.

A czego Pana zdaniem najbardziej brakuje na szlakach?

Koniecznym jest zrobić miejsca do odpoczynku, tym bardziej, że jeszcze są tam drogi rowerowe czy ścieżki rowerowe. Trzeba by było poprawić drogi przede wszystkim, bo fatalnie wygląda droga np. z Tarnowa do Grochowej, która w obecnej chwili się do niczego nie nadaje, a kiedyś tam nawet samochody jeździły. Trzeba po prostu poprawić infrastrukturę i postawić miejsca odpoczynkowe, wiaty. Ostatnio właśnie taką zrobiliśmy w Sulisławicach. Taką, żeby idąc czy jadąc człowiek się zatrzymał, przeczytał tablicę, zobaczył, co tam ciekawego jest, trochę odpoczął, pooglądał i wyruszył dalej. Miejsca na ognisko, żeby można było rozpaść. Na pewno trzeba by było kilka punktów typowo wypoczynkowych zrobić przy szlakach. Zarobić to się wielkich pieniędzy na tym nie zarobi, ale warto próbować. I w ten właśnie sposób powoli się kształtują przyzwyczajenia ludzi do tego, żeby tu przyjeżdżali. Taki Cieśla otworzył swoją agroturystykę i mówi, że cały rok ma obłożenie, czyli ludzie jednak przyjeżdżają, szukają przynajmniej takich możliwości.

Czy zwiedzanie kopalni działającej jest możliwe?

Kopalni magnezytu raczej nie da się zwiedzać, bo rozmawiałem z właścicielem i on raczej takiej możliwości nie widzi, ale otoczenie kopalni - jak najbardziej. Co najwyżej, szukanie minerałów w ramach odkrywki. Żeby ludzie sobie poszukali nawet chryzoprazu, czy magnezytu. Można pokazać budowę geologiczną i gdzie można znaleźć ciekawe okazy geologiczne.

Wracając do stawów: czy można by było przekształcić je czy są one tylko hodowlane na użytek właściciela?

W tej chwili wędkowanie to już tam jest, ale bardzo słaba reklama tej możliwości, więc ciężko znaleźć informację, ale można by do tego rozszerzyć ofertę o możliwość kąpania się w tych stawach. Bo te stawy powstały właśnie, aby były stawami hodowlanymi z możliwością poławiania, tak jak koło Stronia Śląskiego jest sporo takich czy w Nowej Morawie, gdzie jedzie się na pstrąga na przykład, ludzie łowią coś, a potem mogą sobie przygotować. Przy takim czymś często powstają drobne restauracje. Nic wielkiego nie wymyślimy na ten teren. Jeśli chodzi o infrastrukturę, samorządy muszą zainwestować i coś powoli robić. Z kolei hotele, restauracje - tu muszą osoby prywatne zainwestować, ale muszą oni widzieć, że jest jakiś tego sens, że przyjeżdżają ludzie i opłaca się to robić.

A np. „małpi gaj” na terenie lasu, czy jest szansa, że mogło by się przyjąć?

Nie sądzę, ponieważ takich rzeczy jest teraz dużo. Ja myślę, że tu szansę ma turystyka weekendowa, pobytowa w gospodarstwach agroturystycznych w tych wsiach. Mikołajów dobrze też się nadaje do tego i tam jest „Leszczynówka”. Czyli coś się powoli kręci. Zapotrzebowanie na turystykę jest coraz większe, jak widać, bo coraz więcej ludzi ma czasu, żeby tylko jeszcze mieli pieniądze, to by było już dobrze, wtedy samo to powstanie. Na pewno samorząd musi najpierw zrobić ruch, żeby to pokazać, ruszyć, zrobić np. ten szlak, o którym mówiłem, a reszta to już pójdzie samo.

A odwołując się do mody na wyprawy *quadami* i *crossami*, co Pan sądzi o rozwoju w tym kierunku?

Ja na ten teren bym tego nie wpuszczał, bo to niszczenie, moim zdaniem, terenu i można by to jakoś uregulować.

A jeśli wyznaczyć tor, np. na hałdach za Braszowicami, które i tak w obecnej chwili są do tego celu wykorzystywane?

Jest możliwe stworzenie tego z wypożyczalnią sprzętu w pobliżu, tylko potrzebny jest inwestor prywatny. Ale czy by na tym dało się zarobić, to nie wiem. Wiem, że w Szklarach jeżdżą po terenach dawnej kopalni i tam też *paintball* jest popularny. To jest w miejscach właśnie, gdzie ukształtowanie jest dosyć ciekawe, więc szansa na to tu też istnieje.

A otwarcie stadniny i przejażdżki konne po terenie?

Tego typu atrakcje jak najbardziej. Pani Susłowska chce otworzyć szlak konny. Ma gospodarstwo i konie w Ząbkowicach Śląskich i prowadzi działalność oraz ma parkur w Srebrnej Górze, i ona właśnie robi takie rajdy konne po okolicach. Chce ona, żeby wyznaczyć szlak konny, turystyczny, aby można było konno jeździć tutaj i po Górach Bardzkich, bo się idealnie do tego nadają, ponieważ są to płaskie góry. Na pewno przyszłością jest też turystyka narciarska, a tego tu w ogóle nie ma, a wokół Barda, Srebrnej Góry, Złotego Stoku z uwagi na płaskość tych terenów i na dużą ilość dróg wewnętrznych w tych lasach można byłoby je zagospodarować i uruchomić turystykę narciarską i to

pewnie niedługo się zacznie. Już w Srebrnej Górze coś takiego zrobili, biegi narciarskie, bo chodzi o to, żeby zorganizować ileś zawodów, imprez i potem się dalej będzie rozwijać. To też jest przyszłość tego terenu, w ten sposób można w zimie przedłużyć sezon i przyjechać do gospodarstwa i pochodzić na nartach po górach.

Czy Pana zdaniem pomogłoby w rozkręceniu turystyki muzeum rolnictwa?

Jest to pomysł dobry i ja jeszcze w latach 90. taką propozycję lansowałem. Nawet chciałem zainteresować nim dyrektora szkoły w Kamieńcu Żąbkowickim, bo jest tam przecież szkoła rolnicza. Aż się prosi, żeby zrobić muzeum dawnego rolnictwa Przedgórza Sudeckiego. Takie jest w Kudowie-Zdroju w formie skansenu, gdzie się eksponuje budownictwo ludowe, ale pod kątem rolnictwa sudeckiego. A na Przedgórzu nie ma czegoś podobnego i jak najbardziej jest to otwarty pomysł, tylko że musi to być spory teren, bo powinno to być zrobione w postaci skansenu. W Niemczech widziałem dużo takich skansenów. Nie wiem, czy osoba prywatna jest w stanie czemuś takiemu podołać. Sołtys w Wambierzycach zrobił coś takiego. Musiałby się znaleźć fascynat, który by po prostu trochę tego nazbierał i wyeksponował na jakimś kawałku terenu. Jest to bardzo dobry pomysł i właśnie czegoś takiego tu brakuje i różnych podobnych elementów zachęcających. Tylko ludzie nie chcą tutaj specjalnie inwestować, bo to jest trudne i kosztowne

Znowu widoczne jest błędne koło: ludzie nie inwestują, bo nie ma turystów, turyści nie przyjeżdżają, bo nie ma co zwiedzać.

Dokładnie, tak właśnie jest i koło się zamyka. To jest raczej przedsięwzięcie pod kątem władzy publicznej i według mnie to właśnie powiat powinien zacząć działania. Tak jak mówiłem, najlepiej taki skansen byłoby zrobić w szkole, w szczególności, że jest tam teren. Mają tam dużo terenu, zajmują się rolnictwem, trochę pościągać dawnego sprzętu, bo go gdzieś tam można jeszcze znaleźć w gospodarstwach. Trzeba by było go odkupić i postawić, opisać, wyremontować i zrobić ścieżkę, żeby ludzie zaczęli przyjeżdżać. To jest naprawdę bardzo dobry pomysł. Równie dobrze można by to było zrobić w Brzeźnicy, a nie w Kamieńcu Żąbkowickim, jest to ten sam region. Tylko tu rodzi się pytanie, kto by to zrobił, kto ma czas, pieniądze, pomysł. Najlepiej byłoby źródło wód mineralnych odkryć, były kiedyś uzdrowiska w XIX w. w Olbrachcicach, Stoszowicach, jest w Strąkowej, które bije dalej i było badane już w XIX w. Tylko tutaj też trzeba najpierw zainwestować, a nie ma chętnych za bardzo i cały problem w tym.

A Pan osobiście w jaki sposób najchętniej na tym terenie wypoczywa?

Ja raczej jeżdżę w góry, czasami na rowerze, prowadzę wycieczki, ale to raczej poza tym terenem. Nie mam czasu za bardzo na wypoczynki, bo prowadzę działalność gospodarczą.

Podsumowując. Teren ten ma potencjał, aby rozwinąć turystykę weekendową i pobytową. Pojawiają się nowe produkty turystyczne, potrzebna jest dobra reklama i, miejmy nadzieję, za tym pójdą jakieś nowe inwestycje już prywatne. Najlepszymi pomysłami są: utworzenie szlaku relikdami dawnego górnictwa, muzeum rolnictwa, tarasy widokowe, wiaty do odpoczynku na szlakach. We wsiach typowo górskich, jak Mikołajów, Brzeźnica, mogą rozwinąć się usługi agroturystyczne, jakieś knajpy mogą powstać. Turystyka wędkarska, wypoczynkowa, weekendowa, konna i narciarska to jest najlepsza możliwość do rozwinięcia na tym terenie. Jak coś się ruszy, wystartuje w kierunku rozwoju turystyki, to pociągnie za sobą dalszy rozwój.

Trochę tu ludzi przyjeżdża, znacznie więcej niż było. Gdybyśmy uruchomili tutaj zamek kamieniecki, to jest sprawa najważniejsza, gdyby pojawił się inwestor i zrobił w Kamieńcu hotel z prawdziwego zdarzenia, zagospodarował cały park i zrobił z tego atrakcję turystyczną, to idę o zakład, że powoli zaczęlibyśmy konkurować z Ziemią Kłodzką. Są tu warunki idealne przecież, bo jeziora są, na przykład zaporowe koło Kamieńca Żąbkowickiego, i zamek jest, okolice są ciekawe, więc tutaj na pewno by się sporo działo, ale najpierw musi się ruszyć. Powinno powstać coś przyciągającego turystów, a poza tym ludzie będą szukać innych atrakcji. Poza tym liczymy, że za dwa, trzy lata uruchomimy zamek żąbkowicki i jego otoczenie jako obiekt turystyczno-wystawienniczy i krajoznawczy a wtedy przy okazji ludzie odwiedzający to będą jeździć tam po okolicy. Masyw Brzeźnicy jako samodzielne miejsce, gdzie się rozwinie turystyka raczej nie zafunkcjonuje.

Dziękuję bardzo za pomoc i trzymam kciuki za realizację dalszych pomysłów.

Rozmawiała: Monika Babło

Nowa tablica pamiątkowa

Pragnę podzielić się z Czytelnikami naszego e-magazynu treścią zaproszenia, jakie dostałem w listopadzie 2011 r.

Prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz
Dyrektor Węgierskiego Instytutu Kultury w Warszawie János Tischler
zapraszają na
uroczyste odsłonięcie
TABLICY PAMIĄTKOWEJ
poświęconej mieszkańcom Wrocławia,
którzy solidarnie wsparli Braci Węgrów w czasie Rewolucji Węgierskiej 1956 roku
21 listopada 2011 r. o godz. 14.00 na pl. Grunwaldzkim,
obok budynku Domu Studenckiego „Dwudziestolatka

Na tablicy widnieje napis po polsku i węgiersku o treści: **„Wyrazy wdzięczności mieszkańcom Wrocławia, którzy porywem serca solidarnie wspierali braci Węgrów podczas Rewolucji Węgierskiej 1956 w walce o wolność i niepodległość przeciwko dyktaturze komunistycznej”**. Tu właśnie, przy „Dwudziestolatce”, gromadzili się bowiem wrocławianie, którzy wyrazili swoje poparcie dla Węgrów.

W zaproszeniu czytamy: „Podziękowanie dla wszystkich, którzy jesienią 1956 roku we Wrocławiu oddali blisko 200 litrów krwi [dla rannych uczestników wydarzeń na Węgrzech – AR]; organizowali akcje pomocy i zebrali ponad dwa miliony złotych; specjalnym lotem dostarczyli do Budapesztu dary mieszkańców; byli gotowi pojechać na miejsce, by ratować życie i opatrywać rannych; wyrazili gotowość przyjęcia dzieci węgierskich na pobyt tymczasowy; w prasie lokalnej szczególnie relacjonowali tamte dramatyczne wydarzenia; wszędzie w mieście wywieszali flagi węgierskie, często przewiązane kirem; rozpowszechniali ulotki potępiające zdławienie Rewolucji Węgierskiej; na znak solidarności nosili kokardy w węgierskich barwach narodowych; na ścianach stojącego przy pl. Grunwaldzkim domu studenckiego umieścili transparent „Precz ze zbrojną interwencją na Węgrzech”; na znak protestu zwrócili legitymacje członkowskie partii; pochylając głowę w milczeniu uczcili pamięć ofiar represji na Węgrzech.”

W internecie można przeczytać, że „W ceremonii uczestniczyli byli prezydent Węgier László Sólyom, dyrektor Węgierskiego Instytutu Kultury w Warszawie János Tischler, prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz, kardynał Henryk Gulbinowicz i wielu mieszkańców miasta. Ponadto na wrocławskim rynku wywieszono w tym dniu flagę Węgier, a przechodnie mogli otrzymać przedruki wrocławskich gazet z przełomu października i listopada 1956 roku.



Tablicę wykonano z inicjatywy Węgierskiego Instytutu Kultury w Warszawie przy współpracy z Wydziałem Kultury Urzędu Miejskiego we Wrocławiu i Ośrodka „Pamięć i Przyszłość”, którego zadaniem jest dokumentowanie i upowszechnianie wiedzy o historii Wrocławia i Dolnego Śląska w okresie po II wojnie światowej. Autorem tablicy jest rzeźbiarz Christos Mandzios, profesor wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych”. Na profilu Węgierskiego Instytutu Kultury na Facebooku można obejrzeć nagranie z uroczystości.

Andrzej Rumiński

WIELKOPOLSKA MUROWANA

Niedziela, 24.07.2011 r. Drugi dzień krajoznawczej przygody, łączącego chłonięcia ulotnej wiedzy, napawania się pięknem krajobrazu. W dwóch słowach. ZIEMIA KALISKA!

Kolejna kraina historyczna na naszym długim, turystycznym szlaku, której poznawanie rozpoczęliśmy od Russowa – małej wioski, bez kościoła, gdzie na świat przyszła Maria Dąbrowska. W miejscowym dworku autorka spędziła dzieciństwo. Jej ojciec, Józef Szumski, był bowiem zarządcą majątku, doprowadzając zrujnowane gospodarstwo do świetności. Nigdy jednak rodzina nie stała się jego właścicielem. Powieściopisarka uwieczniła miejscowość w „Nocach i dniach” nazywając ją Serbinowem, a na kartach „Ludzi stamtąd” – Rusocinem. Jednocześnie wiernie oddała relacje panujące w domu, własne pragnienia, tęsknoty, obawy, a także wady i zalety bliskich, kreśląc portrety ich osobowości. Obecnie w budynku mieści się muzeum poświęcone pisarce, będące oddziałem Muzeum Okręgowego Ziemi Kaliskiej. Wnętrzem przywrócono wygląd z epoki, a przede wszystkim odtworzono pokój pisarki i jej ojca. Ciekawa ekspozycja, choć skromna, nie powstrzymała naszej krajoznawczej ciekawości. Opuszczając mury obiektu nie sposób ominąć uroczego parku z malowniczymi stawami. Prawdziwie romantyczny krajobraz zachęca do spacerów. Tym bardziej, że całe założenie zostało wzbogacone zabytkami architektury drewnianej, wylaniającymi się tu i ówdzie z bogatej zieleni. Tworzą one skansen budownictwa typowego dla okolic Kalisza, przybliżając przy tym realia życia dawnej wsi. Przede wszystkim jej niepowtarzalny klimat, celowość i praktyczność rozwiązań, prostotę form oraz środków wyrazu. Zero blichtru, sama szczerłość. Codzienne życie.

Nie mogąc rozstać się z Marią Dąbrowską, na kolejny punkt programu wybraliśmy Kalisz – miasto, którego pisarka była honorowym obywatelem. *Calisia*. Takiej nazwy w swoim dziele z II w. użył Klaudiusz Ptolemeusz, aleksandryjski uczoney. Geograf, astronom, matematyk. Dzięki temu miasto uważane jest za najstarszą w Polsce miejscowość wzmiankowaną źródłowo! Ponad 1800 lat historii! Próżno jednak w Kaliszu, leżącym niegdyś na bursztynowym szlaku, szukać tak starych zabytków. Został on, bowiem niemal całkowicie zniszczony w czasie I wojny światowej w wyniku ostrzału artyleryjskiego i podpaień dokonanych przez siły niemieckie. Historycy skłaniają się nawet ku twierdzeniu, że było to najbardziej zniszczone miasto Europy w wyniku działań wojennych z lat 1914-18! W zgliszcza obrócono 95% zabudowy staromiejskiej. Oszczędzono jedynie świątynie. Kalisz – niema ofiara „wielkiej wojny”. Podniósł się on jednak z ruiny w okresie międzywojennym dzięki ofiarności i pracowitości ludzi, którzy nie szczydzili grosza ani potu, aby go odbudować. Dlatego też dzisiejsze miasto w przeważającej mierze jest XX-wieczne. Przynajmniej pod względem architektonicznym. Ozdobę rynku stanowi neoklasycystyczny ratusz, trzeci z kolei, z którego wysokiej wieży rozlega się



Muzeum Marii Dąbrowskiej w Russowie



Kalisiński ratusz

hejnał, a zaprawieni turyści, po pokonaniu niezliczonych schodów, mogą podziwiać panoramę miasta. Warta jest ona zadyszki, tym bardziej, że jedną z kondygnacji zajmuje mechanizm zegara, będącego ozdobą budowli. Niecodziennie można podziwiać zabytek techniki „od środka”! Co ciekawe, konserwacją czasomierza od pokoleń zajmują się potomkowie jego projektanta i wykonawcy – Rafała Władysława Stiltera!

Warto zajrzeć również do katedry p.w. św. Mikołaja. Jej początki sięgają wieków średnich, kiedy wzniesiono z fundacji Bolesława Pobożnego, będącego księciem kaliskim, gotycką świątynię. Historyzm pozostawił jednak także tutaj swój ślad i nad ceglana bryłą budowli góruje charakterystyczna, neogotycka wieża. Wnętrze warte jest uwagi przynajmniej z dwóch powodów. Pierwszym jest ołtarz główny z XVII w. Znajduje się w nim kopia obrazu przedstawiającego zdjęcie Chrystusa z Krzyża, pędzla Piotra Pawła Rubensa – flamandzkiego artysty doby baroku, jednego z najwybitniejszych malarzy epoki. Oryginał dzieła znajdował się w kościele aż do lat 70. XX w. Strawił go wówczas w niewyjaśnionych okolicznościach pożar. Szkoda,

wielka szkoda! Drugim z kolei jest kaplica pw. MB Pocieszenia, nazywana również Kaplicą Polską lub Pod Orłami. Została ona ozdobiona polichromiami i witrażami autorstwa Włodzimierza Tetmajera, przez co wpisuje się w piękny, wyrazisty, styl młodopolski.

Dwa dni podróżowania po Wielkopolsce minęły w mgnieniu oka. Historyczna dzielnica o fascynującej przeszłości i wspaniałych zabytkach przyciąga krajoznawców, miłośników kraju ojczystego, niczym magnes. Tymczasem, co dobre, szybko się kończy! Pozostają jednak plany na przyszły rok, a w nich... Park Krajobrazowy im. gen. Dezyderygo Chłapowskiego. Do zobaczenia na szlaku!

Marcin Husak

MIECHÓW – Małopolska Jerozolima

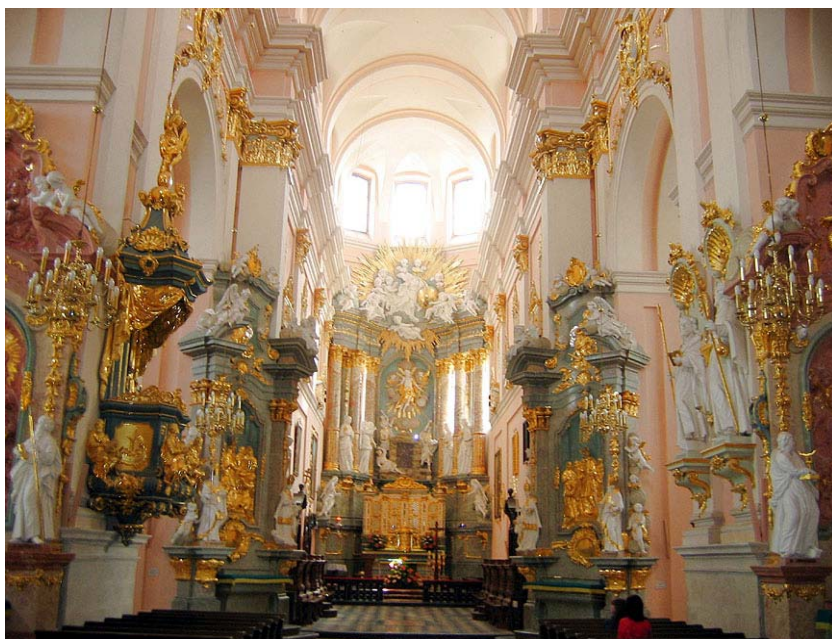
W artykule o Krzeszowie W. Papierniak (Sudety, nr 3(48), marzec 2005), przedstawiając kaplicę Marii Magdaleny tamtejszego sanktuarium, dość szczegółowo opisuje znajdujący się w niej Boży Grób. Jest to kopia grobu jerozolimskiego Chrystusa. Przy okazji autor wspomina o zakonie bożogrobców oraz wylicza inne podobne kaplice z naszej części Europy. Pragnę nieco szerzej zwrócić uwagę na dzieje tego zakonu w aspekcie roli, jaką odegrał Miechów w rozwoju zakonu bożogrobców w Europie. Jednocześnie myślę, że warto te wiadomości uzupełnić. Otóż ów autor podaje, że kaplice Bożego Grobu na aktualnych ziemiach polskich znajdują się w Nysie, Wambierzycach i Krzeszowie (Sudety), to też Góra Św. Anny, Głogówek, Piekary Śląskie i Potępiec koło Gliwic oraz Żagań. Wymienia również takie kaplice znajdujące się w Czechach, tj. Liberec i Jiřetin, oraz w Görlitz w Niemczech. Na dobrą sprawę kaplice w wymienianych polskich miejscowościach powstawały w czasach, gdy nie znajdowały się one w granicach państwa polskiego. **A takie kaplice znajdują się na terenie Polski jeszcze w Miechowie i Przeworsku.**

Jak doszło do powstania kaplicy Bożego Grobu w Miechowie? Otóż wiemy, że w Jerozolimie Bazylika Bożego Grobu powstała w 336 r. W ciągu wieków była ona wielokrotnie burzona

i odbudowywana. Wybudowana przez Krzyżowców w 1149 r. przetrwała do naszych czasów. Centralnym miejscem bazyliki jest rotunda z kaplicą grobu Chrystusa. Komora grobowa, w której złożone było ciało Chrystusa po zdjęciu z krzyża, znajduje się po prawej stronie kaplicy, a nie w jej centralnej części. Wspominając swój pobyt tam pragnę podkreślić głębokie przeżycie i szczere wzruszenie, jakiego doznałem i jakiego doznaje zapewne każdy chrześcijanin, przebywając w tym miejscu. Może przytoczę choćby fakt z życia Juliusza Słowackiego. To właśnie przed Bożym Grobem w Jerozolimie w tym wielkim poecie dokonała się olbrzymia duchowa przemiana. Z niesfornego młodziana, bawidamka, łamiącego niewieście serca, czasami nawet nieletnich panien, stał się pełnym sił duchowych, poetą. Jako ciekawostkę podaję fakt, że Bazylika Bożego Grobu jest we władaniu trzech wyznań. Jest to kościół rzymskokatolicki, ormiański i greckokatolicki. Zaś klucze do świątyni posiada rodzina muzułmańska, która otwiera bazylikę o godz. 4:30, zaś zamyka o godz. 20. Przy Bazylice powstał Zakon Kanoników Regularnych Stróżów Grobu Chrystusowego, popularnie zwany bożogrobcy. Pragnę zwrócić uwagę na początki tego zakonu w Europie, a że w niej rozprzestrzenił się, poczynając od Miechowa, o tym za chwilę.

W wyprawach krzyżowych brało udział wielu książąt i rycerzy polskich. Jednym z nich był Henryk Sandomierski, syn Bolesława Krzywoustego. Towarzyszył mu Jaksza herbu Gryf. O tę postać historycy toczą spory już od czasów Długosza. Czy był to legendarny, słowiański książę połabskich Stodoran – Jaksza z Kopanicy (Köpeninck to obecnie dzielnica Berlina), który pojął za żonę Agapię, córkę śląskiego możnowładcy – komesa Piotra Włostowica, czy książę małopolski? Nierozstrzygnięty spór naukowców trwa nadal. Jaksza uprosił w Jerozolimie opata bożogrobców, aby „dał” mu kilku braci do Polski. Na czele tej grupy przybył kanonik Marcin zwany Gallem, który był Francuzem z pochodzenia. Dla przybyłej grupy Jaksza jako uposażenie nadał trzy wsie: Miechów, Zagórzyn i Komorów. Tu może zrodzić się pytanie, skąd Jaksza z Kopanicy, jeśli to on, miał majątki w Małopolsce? Ano dostała je w wianie ślubnym żona Agapia, gdyż jej ojciec Piotr Włostowic miał majątki w wielu miejscach piastowskiego państwa.

Bożogrobcy w Miechowie (stąd polska nazwa tego zakonu – miechowici) wystawili pierwszy w Europie klasztor tego zakonu i okazały kościół. Z czasem otrzymał on wspaniałe barokowe wyposażenie, odnowione w ostatnich latach. Bogactwo złocień, rzeźb, malowideł stwarza wrażenie niebiańskiej świątyni, w której oczywiście znajduje się kaplica Bożego Grobu. (Nie będę opisywał szczegółowo wnętrza i wyposażenia miechowskiej świątyni. Kto tam nie był, niech koniecznie zawita. Miechów ma dogodne położenie. Leży przy ruchliwym szlaku komunikacyjnym z Krakowa do Kielc i Warszawy. A kto nie może chwilowo tam jechać, niech przynajmniej poogląda zdjęcia np. na stronie internetowej. Najszczegółowszy opis bazyliki w Miechowie przedstawia Beata Skrzydlewska w *Architektura i sztuka kościoła pw. Grobu Świętego w Miechowie*). Opaci miechowscy założyli klasztory filialne w wielu miejscach Polski i Europy. Już w XIII w. fundacje takie powstały m.in. w Gnieźnie, Sieradzu, Sandomierzu, czy też bazylika pw. Bożego Grobu w Przeworsku. Za czasów Kazimierza Wielkiego powstał klasztor ze słynnym szpitalem św. Jadwigi, w podkrajowym Stradomiu. Klasztor miechowski stał się jednym z najwspanialszych w Rzeczypospolitej. O znaczeniu tego klasztoru niech świadczy fakt, że generałem zakonu był królewicz Karol Ferdynand Waza, późniejszy biskup wrocławski i wrocławski, a także kardynał Andrzej Batory, bratanek króla Stefana Batorego. Po opanowaniu Jerozolimy przez muzułmanów



Wnętrze miechowskiej bazyliki



Fragment klasztoru bożogrobców

klasztor miechowski stał się celem pielgrzymek z całej Europy. Sanktuarium Bożego Grobu zyskało rangę w całym chrześcijańskim świecie. Wracając zaś do Miechowa trzeba dodać, że bazylika uzyskała kolejny wspaniały element architektoniczny. Na kopule świątyni (wbrew krytyce Bolesława Prusa, który w 1895 r. na łamach warszawskiej prasy wyśmiewał ten pomysł, gdyż wtedy on się pojawił po raz pierwszy) umieszczono w 2006 r., wysoką na 5,5 m figurę Chrystusa Zmartwychwstałego.

Bazylika miechowska to nie jedyna atrakcja tych okolic. Dla prezentacji historii i roli zakonu bożogrobców w dziejach Kościoła i

kultury polskiej opracowano trasę turystyczną „Małopolski Szlak Bożogrobców”. Ma ona mini przewodnik po zachowanych zabytkach, prezentujący jednocześnie pozostawione dziedzictwo bożogrobców zarówno w Miechowie, jak i w Małopolsce. Dorobek tego zakonu jest przeogromny. Dotyczy to nie tylko budownictwa sakralnego czy działalności charytatywnej, takiej jak prowadzenie szpitali czy przytułków, a także szkół. W miechowskim klasztorze najprawdopodobniej powstał jeden z najcenniejszych zabytków polskiego piśmiennictwa, jakim są *Kazania świętokrzyskie*. Bożogrobcy wnieśli również swój wkład w rozwój górnictwa na Górnym Śląsku. Na otrzymanym w 1257 r. od Władysława Opolczyka terenie założyli wieś Chorzów. To tutaj w 1778 r. ks. Ludwik Bojarski odkrył złoża węgla kamiennego i założył pole wydobywcze *Księżna Jadwiga*, kładąc podwaliny pod rozwój górnośląskiego górnictwa węgla. Władze pruskie kopanie węgla uruchomiły później, tzn. kopalnię *Król* w Chorzowie i kopalnię *Królowa Luiza* w Zabrze w 1790 r. Nie omijajmy więc Miechowa w swoich turystycznych wożach. To miejsce w Polsce, skąd kult Bożego Grobu rozszedł się na całą Europę, to miejsce, gdzie w 1530 r. powstała najstarsza w świecie replika Bożego Grobu z Jerozolimy.

Stanisław Dziuba

Foto: Krzysztof R. Mazurski

CIEKAWOSTKI CZY ZAWALIDROGI?

Każda pliszka swój ogonek...

Może nie chwali, ale pokazuje. Jak głosi tytuł, mam mieszane odczucia, jeśli chodzi o modę stawiania na ulicach naszych miast rozmaitych figur, pomniczków, aranżacji i innych „durnostojów”, jak chcą złośliwcy. Ma Wrocław swoje słynne krasnale i „wychodzących z chodnika”, ma Toruń sporo przeróżnych figur mnożących się w niesamowitym postępie. O pomnikach pisałem nie będę, bo, pomijając Kopernika, samych Janów Pawłów II mamy w moim Toruniu trzech (nie licząc popiersi w szkołach i instytucjach). Chodzi o elementy małej architektury czy też zagospodarowania przestrzeni publicznej. Z dawnych czasów został *Flisak z żabami* stojący obok Ratusza na Rynku Staromiejskim. Współcześnie zaczęło się od niezłego pomysłu figur *Kargula i Pawlaka* przed multipleksem i to przyjęto bardzo życzliwie. Potem na ul. Przedzamcze pojawił się *smok*, widziany ponoć w roku 17. przez jakąś mieszkankę w tym miejscu, *pies prof. Filutka* upamiętniający słynnego rysownika Zbigniewa Lengrena, związanego z Toruniem, *osioł* będący repliką pręgierza i lawinowo kolejne



figurki. W wielu miejscach na murach obronnych i na parapetach kamienic można spotkać **krzyżackich rycerzy, mieszczan i mieszczki** oraz inne figurki, których jest na Starym mieście kilkadziesiąt. Ostatnio na Rynku Nowomiejskim przysiadła **Przekupka** (nieoficjalnie „baba z jajami”), a u wylotu Małych Garbar do Królowej Jadwigi – **Piernikarka**. Odbiegającą od pozostałych „pomniczków” jest tzw. aranżacja upamiętniająca film „Prawo i Pięść”, którego sceną jest toruńska Starówka udająca jakieś miasto na Ziemiach Odzyskanych. Jest to „**wózek osadników**”. Jak pamiętam z filmu, kilka kobiet ciągnie przez miasto telepiący się wózek z dobytkiem i tenże wózek stoi na rogu rynku. Niemal wszystkie te figurki, pomniczki i aranżacje są celem działania wandalów, którzy nie przepuszczą niczemu, co ma

wartość w skupie złomu. Największym obiektem jest **Planetoidea 12999 Toruń**, ustawiona na pl. Rappackiego. Jest to spory kawał metalu niedający się wyrwać z podłoża. Prawdziwą planetoidę odkrył Edward Bowell w 1981 r. i zaproponował taką nazwę w związku z zasługami



Kopernika (Torunia) dla nauki. Zapewne lista figurek będzie się wydłużała, bo taki jest w Toruniu trend. Niektóre rzeczywiście warte są obejrzenia i choć nie wszystkie są dziełami sztuki, to urozmaicają przestrzeń. Byle tylko nie nastąpił przesyt, bo granica między ozdabianiem ulic a zagracaniem może okazać się mało zauważalna.

Juliusz Wystouch

Przez Wzgórza Dobrzeńskie

Przedgórze Sudeckie nie jest zbyt nadmiernie nawiedzane przez turystów pieszych-wędrowców, choć szlaków jest tu już dość sporo – pomijając nawet Masyw Ślęży. Należą do nich Wzgórza Bielawsko-Niemczańskie, w tym ich podregion Wzgórza Niemczańskie. A przecież to region urozmaicony krajobrazowo, łagodnie sfalowany (wysokości sporadycznie tylko sięgają nieco ponad 300 m) i pełen ciekawych zabytków architektury, przy tym łatwo dostępny – fakt, że raczej własnym samochodem niż masową komunikacją, ale jednak. Wybierzmy się zatem na Wzgórza Dobrzeńskie, które są jednym z pasemek o nietypowym dla Sudetów przebiegu, mianowicie – południkowym. Wycieczka półdniowa, do 4-5 godz. spokojnego marszu, który można rozpocząć akurat z jednego z trzech przystanków PKS u dołu wsi Żelowice, jeden z nich nawet w niej samej, inny – nieco ku następnej wsi Kowalskie. Tu zaczynają znaki żółte, wprowadzając po chwili u stóp nieczynnego kamieniołomu bazaltu w aleję, dochodzącą do wyboistej drogi, prowadzącej do zespołu sakralnego na Maślanej Górze.

To pochodzący z lat 1865-68 zespół, obejmujący nieduży gotycki kościół, połączony z budynkiem przeznaczonym dla szarytek. Został on pomyślany



Najstarsza płyta w Żelowicach



Kolorowe płyty nagrobne w Żelowicach

przez fundatorkę Karolinę von Stillfried, z domu von Mettich jako dworska świątynia według projektu dość znanego K. J. Lüdecke. Wartość jego polega na zgromadzeniu we wnętrzu i w murach zewnętrznych dwudziestu ośmiu płyt nagrobnych przez hr. Rudolfa von Stillfried-Alcantara. Pochodzą one głównie z XVI-XVII w., zachowały pierwotną polichromię (co jest dużą rzadkością), a te zewnętrzne są jeszcze starsze – granitowa płyta niejakiego Jacobusa powstała około połowy XIII w., druga – Ludwika von Hakeborna

w 1317 r. Teren wokół dobrze utrzymany, za kościołem można pozostawić samochód.

Szlak prowadzi piękna aleją lekko w dół do szosy i nią prosto. Po 25 min. skrzyżowanie – skręcamy w prawo do pobliskiej Błotnicy, niewielkiej wsi, którą omijamy łukiem od północy. Przed nami zaczynają roztaczać się widoki na wzgórze, z których część wieńczy ciemna korona lasów. Teraz lekko do góry gruntową drogą na grzbieciku, gdzie osiągamy skraj Pruskiego Lasu, porastającego właśnie Wzgórza Dobrzeńskie (45 min.).



Pałacyk w Piotrkówku

Zagłębiając się weń, pozostawiając z prawej grupę malowniczych sosen. W drzewostanie jednak dominują gatunki liściaste, przede wszystkim buki, liczne są dęby – typowy skład grądowy. Po 15 min. przekraczamy ledwo widoczną Żelowicką Strugę, pojawiają się zabudowania Piotrkówka i stajemy na szosie (1.10 godz.). Na narożniku muru obwodowego skręcamy w lewo, by przy następnym zoczyć malowniczą, ale podniszczoną, wyraźnie widoczną tu wieżę ciśnień, od dawna zdewastowaną. Za nią w głębi jasne fasady pałacyku z nowym dachem. Rezydencjonalną budowlę w tym miejscu wspomniano już w 1475 r., obecna jednak to efekt wielokrotnych przebudów. Po 1990 r. została ona w końcu kupiona przez pewną Włoszkę, która jednak przeliczyła się z siłami (finansowymi) i pałacyk nadal czeka na nowego użytkownika. Nieco poniżej wznoszą się dwa potężne zabudowania gospodarcze, z których najbliższy naszej trasie przypomina gotycką budowlę.

Minąwszy ją zagłębiając się zaraz ponownie w las, lekko do góry w pięknej buczynie, przetykanej miejscami niewielkimi płatami dąbrowy. Trawersujemy od południowschodu niewielkie wzniesienie, pokryte rzadkim drzewostanem, zwane Wysokim Lasem (322 m). Jeszcze chwila schodzimy do siodelka, oddzielającego od Ostrej (362 m) ze zniszczoną wieżą widokową. Dotąd 2 godz. Po prawej widać samotne budynki, dawną leśniczówkę „Hochwald”. Przed nami – koliba „Ponowa” Koła Łowieckiego z Niemczy, zorganizowana w 2000 r. na 50-lecie swojego powstania. Obejmuje ona niewielki drewniany budynek, wiaty z ławami i oczywiście kaplicę św. Huberta. Tuż przy niej następuje połączenie z długodystansowym szlakiem czerwonym Łągiewniki – Ziębice.

Po odpoczynku, w wygodnych warunkach opuszczamy szlak i ze skrzyżowania na siodle kierujemy się na wschód (od koliby w prawo), w dół wyjeżdżoną polną drogą. Za chwilę poprzeczne rozwidlenie – w prawo, wzdłuż zaśnieżonej drogi, i na



Dolinka pod Ostrą jesienią

wysokości narożnika Prusickiego Lasu kierujemy się nań do wądołu (Żelowicka Struga po prostu często tu nie cieknie), zaznaczonego szpalerem niewielkich krzaków (2.30 godz.). Przechodzimy przez nie i trzymając się skraju lasu, w którym kolejna zarośnięta droga, docieramy lekko pod górę do leśnej ściany. Za nami piękny widok na obniżenie między wzgórzami Dobrzeńskimi a Dębowymi. Dalej prosto drogą, też zarastającą, by po kilkunastu minutach osiągnąć przeciwległy skraj lasu na grzbiecieku poznawanych przez nas wzgórz. Tu w lewo, mając po prawej widoki na nieco odległe Wzgórze Strzelińskie, poniżej zabudowania Brochocina, a dalej – Dobrzeń z wyraźną sylwetą kościelnej wieży. Idziemy ciągle prosto, potem lepszą leśną drogą lekko w dół, by dotrzeć do mijanej już grupy sosen przy szlaku żółtym (3.15 godz.). Tu nim w lewo i zaraz w lesie w prawo odchodzi wygodna droga. Nią cały czas prosto, nastrojowo o różnych porach roku, by po 15 min. stanąć na skraju lasu. Teraz nim w prawo, lekko do góry, aż do jego narożnika. Tu następuje nienajlepszy moment – wiodąca dalej droga została zaorana, więc trzeba dojść do miedzy, a następnie skierować w lewo do góry ku widocznemu pasmu krzaków. Oznaczają one właśnie istniejącą drogę, którą schodzimy w dół, mijając okrągłe ujęcie wody. Przed nami bliskie już zabudowania Żelowic.

Skręcamy na szosie w lewo do drogi, prowadzącej w prawo w zabudowania dworskie (nieco dalej przystanek PKS). Wśród nich wznosi się pałacyk, mający za poprzednika dwór z XVI w. Na obecną klasycyzującą neobarokową formę przebudował go Rudolf von Stillfried-Alcantar. Mieszkają w nim byli pracownicy tutejszego PGR, ale od 2011 r. obiekt czeka na sprzedaż. Szkoda tylko, że zaniedbano narożną wieżę. Obiekt mijamy z lewej i przekroczywszy mostek na nikłym cieku podchodzimy lekko do góry utwardzaną, ale mocno już zużytą dróżką przez piękny, też zaniedbany naturalistyczny park do kościółka, gdzie zostawiliśmy nasz pojazd, ewentualnie dalej idziemy znaną trasą do początku szlaku.

Wielce przydatną w wędrówce jest mapa „Wzgórze Strzelińskie. Wzgórze Niemczańskie” 1:40.000 wydawnictwa PLAN.

Krzysztof R. Mazurski



XII Międzynarodowy Rajd Pieszy IVV

“Łużyckie Wędrówki”

w ramach turystycznej imprezy

“3 Dni - 3 Kraje - 3 Wędrówki”

odbędzie się w dniu 27.04.2012r.




Organizator imprezy:
Oddział Łużycki PTSM w Lubaniu
59-800 Lubań, ul. Łużycka 1
tel. 75 721 6580, kom. 604 927 247
szczegółowe informacje na stronie:
www.ptsmkluban.vipserv.org/menu3dni.htm





Patronat medialny sprawuje Miesięcznik “Na Szlaku”

Łużycki Drożdżij

Łużyce to krajobrazowe i słowiańskie jakby przedłużenie Śląska na zachód. Nazwa nadodrzańskie historycznej krainy wywodzi się od ślęgów – podmokłych, *ślężnych* terenów, określonych jako Ślązsko, potem w uproszczeniu Śląsk. Łużyce zaś wywodzą się od ługów, takich samych terenów (dziś ich atrakcyjna część, sięgająca niemal Berlina, to Błota, niemiecki Spreewald), czyli *łuznych*. To Słowianie tak je nazwali, przy czym ich resztką – za naszą zachodnią granicą, są Dolno- i Górno-łużycanie. Ci drudzy w istocie są potomkami Milczan, żyjący w okolicach Budziszyna, których odrębność plemienna została zatarta nazewniczo przez niemieckich najeźdźców. W tamtą też stronę, za Kwisę – stanowi ona granicę między Śląskiem a Łużycami, rozciąga się podobne środowisko geograficzne, jak Pogórze Łużyckie i Góry Łużyckie, stanowiące najbardziej na zachód usytuowane części Sudetów.

Tereny te zostały wcześniej zasiedlone przez Słowian, a po X w. dodatkowo „dogęszczane” przez niemieckich osadników. Wiele więc miejscowości ma wczesnośredniowieczny rodowód, część nieco późniejszy. Do tych drugich należy Drożdżij, leżący na północnym skraju Pogórza Łużyckiego, na wysokości 150-160 m. Ta niewielka do dziś osada zawdzięcza swą nazwę jej posiadaczowi – niejakiemu Droży, które to imię było ludowym zdrobnieniem Drogobuda. Pierwsza wzmianka o niej została odnotowana w 1400 r. w brzmieniu Drossaw. Droga przekształceń w niemieckich ustach funkcjonuje ona obecnie równolegle jako Drehsa. Powstały tu ośrodek niewielkich w sumie dóbr rycerskich funkcjonował nieco na południe od ważnej przez setki lat tranzytowej drogi przez Budziszyn i Zgorzelec na wschód, zwanej przez swe znaczenie *Via Regia* – Droga Królewska, która dziś oznakowana jest jako atrakcyjny szlak turystyczny. Położenie wioski wypada niemal dokładnie w połowie trasy między Budziszynem a Wozporkiem (Weißenberg) – tu najlepiej zjechać z autostrady na Drezno.

W tym lekko pofalowanym terenie, z dużymi połaciami lasów, z daleka widać już osobliwą wieżę – smukłą, ale z jakimś nietypowym zwieńczeniem, chyba nie kościelnym, jakby się mogło wydawać. To swoisty kierunkowskaz, który doprowadza nas do wioski, gdzie na skrawku głównej drogi należy jechać prosto, lekko do góry i... przed nami wyłania się sylweta ładnego pałacu o odnowionych fasadach. Na tym Dworskim Wzgórzu (Hofberg) istniała wcześniejsza, skromniejsza rezydencja, od 1627 r. mieszcząca zarząd majątku ziemskiego. W ciągu wieków należał on do różnych rodzin, m.in. znanych na Łużycach (także z polskiej dziś części) von Gersdorfów czy von Einsiedel. W XIX w. dobra przeszły w ręce rodziny von Bleichröder, która w 1870 r. (podawany jest 1870 i 1890) wniosła klasycyzującą budowlę. W ostatnich latach tamtego stulecia stał się on własnością hrabianki Elżbiety zur Lippe-Weißefeld. Owa dama po wyjściu za mąż za jednego z potomków kurfirsta Hessen-Kassel – księcia Wilhelma von Hanau, zamieszkała z nim w pałacu Horzovice w północnych Czechach. Po jego śmierci w 1902 r. zamieszkała w Drożdżiju. Ona też w 1911 r. nadała pałacowi ostateczną formę. W 1945 r. księżna została wywłaszczona, udało się jej przenieść do zachodnich stref okupacyjnych Niemiec i zmarła w 1952 r. w Schweinfurcie. Do 1947 r. w pałacu mieściła się komendantura wojsk radzieckich, po której obiekt



Pałac od strony parkowej

przejęło saksońskie Ubezpieczenie Społeczne na zakład przeciwgruźliczy, a następnie od 1958 r. na dziecięc. Z powodu trudności finansowych placówka po zjednoczeniu Niemiec nie funkcjonowała od 2004 r., lecz po trzech latach pałac – jeden z najpiękniejszych na Łużycach Górnych, zyskał prywatnego właściciela, który kontynuuje jego adaptację na cele turystyczne.

Podjazd, za nim wielkie zabudowania gospodarcze, a przy jednym z nich, rozległych i wysokich stajniach, wyrasta wspomniana na początku wieża. Wzniósł ją baron James von Bleichröder w 1889 r. jako wodną, wodociągową, w celu poprawy zaopatrzenia pałacu i gospodarstwa w wodę. W związku ze zwodociągowaniem Drożdżija w 1967 r. utraciła ona swoją funkcję i groziła jej rujnacja, lecz dzięki miejscowemu społeczeństwu w 1994 r. przystosowano ją na punkt widokowy, na który prowadzi 115 stopni. Z nadwieszzonego jakby ganku rozciąga się nader rozległy widok – od piętrzących się na południu najwyższych wzniesień Pogórza Łużyckiego po Holę – płaskie, leśne tereny na południowej granicy Łużyc Dolnych. Klucz do wieży można uzyskać w pobliskim budynku mieszkalnym.

To nie koniec atrakcji. Od zachodu pałacu rozciąga się malowniczy park w stylu angielskim, założony w 1891 r. według projektu architektów ogrodnictwa Maxa Bertrama i Paula Schindela. Rośnie w nim ponad czterdzieści gatunków drzew i krzewów, niejednokrotnie okazałych rozmiarów. Księżna Elżbieta w 1907 r. przeniosła tu z Horzovic trzy rzeźby dłuta Heinricha Nattera (1844-1892) z południowego Tyrolu, przedstawiające postacie z nordycko-germańskiej sagi o Nibelungach: Zygryda, Wotana i Walkirię. W pobliżu grotty z tym pierwszym urządziła ona następnie w 1911 r., też w „starogermańskim” stylu grób małżonka poprzez nakrycie go monolitycznym głazem z lużyckiego diorytu o ciężarze 17 ton. Został on przywieziony koleją z Demitz-Thummitz, a następnie na to miejsce przetransportowany toczonym zaprzęgiem na sześć par koni. Księżna też chciała być tu pochowana, ale los sprawił inaczej. Ten piękny park przechodzi w szczególnie romantyczny fragment, też urządzony przez księżną, nazywany „Drożdżijską Szwajcarią” (Drehsaer Schweiz). Obejmuje on niewielkie, ale malownicze dolinki, z wystającymi gdzieś na powierzchnię piaskowcowymi skałkami.



Rzeźba Walkirii

Jeśli komuś jeszcze mało, to może (a warto!) zwiedzić we wsi Muzeum Krajoznawcze (Heimattmuseum), które powstało z prywatnych zbiorów Heinza Schletze. Lokalne towarzystwo miłośnicze udostępniło na cele ekspozycyjne swoją siedzibę, dzięki czemu od 2000 r. można zapoznać się z dokumentacją materialnej przeszłości wsi i jej okolicy. Coraz liczniejsze grono turystów przyciągają dwie sezonowe imprezy. Wiosną organizowane jest Święto Kwitnienia (Blütenfest), zaś jesienią – Święto Ziemniaczane (Kartoffelfest) w połączeniu z pokazami tradycyjnego rzemiosła.

Taka mała wieś, a tyle atrakcji! Wystarczy tylko trochę zszednąć z A4!

Krzysztof R. Mazurski



Wieża widokowa

Wybrzeże Kości Słoniowej (3)

Rzemieślnicy Słowa

„W Afryce, gdy umiera starzec, to tak, jakby płonęła cała biblioteka” – stwierdził kiedyś afrykański pisarz, Amadou Hampaté Bâ. Zdanie to nabiera szczególnego sensu w odniesieniu do griotów, których nazwał on „żyjącą pamięcią wspólnoty”. Kolejnym etapem mojej podróży było położone w północno-wschodniej części kraju miasto Odienné. Jego okolice zamieszkałe są przez starodawne plemię Mandingów. Ich liczebność szacuje się dziś na jakieś 8-10 mln dusz, dzielą się oni na wiele mniejszych grup plemiennych rozrzuconych po kilku krajach Afryki Zachodniej. Dziś, podobnie jak przed wiekami, głównym ich zajęciem jest handel, a pamięć o wielkiej przeszłości i tradycji jest wśród członków tego ludu pielęgnowana wyjątkowo pieczołowicie. Służą temu Słowo i muzyka.

Świat bez pisma

Słowo i muzyka były w tradycyjnym społeczeństwie Mandingów domeną griotów. Nie jest łatwo wyjaśnić w kilku zdaniach, kto oni zasz i jaką pełnią rolę. Spełniali wiele rozmaitych funkcji, ale wszystkie da się je w zasadzie sprowadzić do jednej ogólnej – posługiwania się słowami i muzyką we wszystkich sytuacjach publicznych. To griot był tym, który w wymiarze społecznym miał prawo mówić. I tylko on. Pomimo iż kultura Afryki uległa daleko idącym przemianom, zasada ta w wielu przypadkach obowiązuje jeszcze do dziś. Istnienie w afrykańskich społeczeństwach tego typu „specjalisty od mówienia” wiąże się z faktem, że kultury te do niedawna jeszcze (ściślej mówiąc: do czasu przybycia Białych) nie znały pisma, a i dziś jeszcze używają go rzadko i niechętnie. Wszelkie doniosłe fakty, czy to przekazy historyczne, czy normy religijne, czy też np. ustalenia prawne, jako że nie były utrwalone za pomocą pisma w żadnym materiale, takim jak np. papier, skóra, drewno czy kamień, istniały tylko w ludzkiej pamięci i tylko dzięki wyrecytowaniu przez konkretnego członka społeczności mogły zostać przywołane. Nie istniała możliwość „sprawdzenia” danej wypowiedzi poprzez porównanie jej z „prawidłową” wersją pisaną, ludzie mieli bowiem dostęp do wiedzy wyłącznie za pośrednictwem słowa mówionego. Łatwo więc sobie wyobrazić, jak istotne było dokładne, wykluczające wszelką pomyłkę pamiętanie i przekazywanie faktów. Nic więc dziwnego, że musiała się tym zajmować wyodrębniona grupa ludzi specjalnie w tym kierunku kształconych i operujących sobie tylko znanymi metodami i sposobami. Takimi ludźmi byli właśnie grioci. „Zawód”, który wykonywali, miał w pozabawionej pisma kulturze tak wielkie znaczenie, że często przynosił im zaszczyty i bogactwo, wiązał się jednak z wielką odpowiedzialnością. Tak wielką, że ponoć w dawnych czasach za drobną pomyłkę w tekście pewnych pieśni i opowieści mogła spotkać griota, w najlepszym razie, powiedzmy „utrata prawa wykonywania zawodu”, w najgorszym zaś – śmierć. Jednym z zasadniczych zadań griota było stanie na straży tzw. pamięci zbiorowej, z tego względu nazywa się ich czasem „strażnikami tradycji”. Potrafią oni wyrecytować genealogię danego np. dostojnika nawet do kilkudziesięciu pokoleń wstecz, przywołując z przeszłości imiona dawno zmarłych przodków i przypominając ich sławne czyny. Inną funkcją owych „afrykańskich aojdów” jest przechowywanie w pamięci i recytowanie różnego rodzaju mitów i eposów historycznych opowiadających np. o pochodzeniu i przeszłości całego plemienia. To samo czynili w antycznej Grecji ludzie tacy jak Homer, wiadomo wszakże, że jego poematy były w pierwotnej wersji przeznaczone wyłącznie do recytacji ustnej. To właśnie dzięki griotom członkowie społeczności znają swą przeszłość, co sprawia, że budzi się w nich poczucie wspólnoty i tożsamości grupowej. Wiedza o własnej historii jest wszakże niezbędna ku temu, aby móc odpowiedzieć sobie na pytanie „kim jestem”?

Jednak zadanie griotów nie ogranicza się do przypominania przeszłości. Pełnią oni ważną funkcję we wszelkiego typu uroczystościach, tak rodzinnych, jak i publicznych. To właśnie griot był niegdyś heroldem władcy i jednocześnie jego zausznikiem, przekazywał słowa króla ludowi, a słowa ludu – królowi. Czynił to, bo najlepiej umiał ubrać myśl w słowa, na tym polegał jego zawód. Z tego samego względu jeszcze dziś ogłasza on np. nowinę o czyichś narodzinach czy ślubie, wygłasza pochwały ważnych osobistości (potwierdzając w ten sposób ich społeczny autorytet), wynosi zalety dostojników i opiewa czyny bohaterów. Wszystkie te osoby spełniają w plemienu jakieś konkretne

funkcje, jedyną funkcją griota jest mówienie o tym. Jest on jakby bardem, poetą i dziennikarzem w jednej osobie, spełnia wszystkie te zadania, które w naszej kulturze przypadają tzw. środkom masowego przekazu.

Lament pogrzebowy

Również w przypadku pogrzebu przypada griotowi smutny obowiązek przewodzenia uroczystości. Podczas mego pobytu w Odienné miałem okazję asystować przy rytuale pogrzebowym, w którym brał udział griot. Zmarłym był powszechnie znany i szanowany obywatel, wielki myśliwy, toteż goście ściągnęli w takiej liczbie, że szczelnie wypełnili niewielkie podwórze, na którym odbywała się ceremonia. „Obsługujący” uroczystość griot Enza był jeszcze młodym, niedoświadczonym adeptem sztuki Słowa, mimo to jego umiejętności wywarły wielkie wrażenie tak na mnie, jak i na reszcie zebranych. Ubrany w długą, narzuconą na koszulę płócienną bluzę i elegancki kapelusz z wąskim rondem, akompaniował sobie trzymanym w dłoni instrumentem wykonanym z karbowanego kawałka metalu, po którym przeciągał szybko kijkiem, co powodowało powstawanie ostrego, nieprzyjemnego dla ucha dźwięku. Oprócz tego śpiewakowi towarzyszył instrumentalista grający na tzw. *corze*, instrumencie strunowym, którego pudło rezonansowe było wykonane ze stwardniałej, wydrążonej łupiny dużego, przypominającego nieco dynię owocu, a gryf – z łodygi lub twardej gałęzi. Dźwięk dyktował griotowi melodię.

Pomimo że we współczesnych nam czasach tradycyjny podział kastowy, zwłaszcza w miastach, ma coraz mniejsze znaczenie, Enza dopełnił podczas pogrzebu swego obowiązku wychwalania dostojników i kilka z jego improwizowanych pieśni było poświęconych bezpośrednio obecnym na pogrzebie osobistościom. Później śpiewał (a właściwie melorecytował) praktycznie przez trzy godziny trwania uroczystości bez przerwy. Cóż, tylko griot ma prawo mówić. I mówi za wszystkich. Ten swoisty monopol na Słowo widać było wyraźnie podczas wykonywania przez Enzę pieśni dla żony zmarłego. Przez cały czas trwania pogrzebu pozostawała ona na uboczu, z tyłu, za zebranymi, nie występowała publicznie i w żaden sposób nie dała przed zgromadzeniem wyrazu swemu bólowi i żalu po stracie Ojca Rodziny. Dopiero griot musiał wyśpiewać całe jej cierpienie niejako „w jej imieniu” – wraz z towarzyszącymi mu instrumentalistami udał się do żbolałej matki i specjalnie dla niej wykonał długi, rozdzierający lament pogrzebowy.

Koniec
Krzysztof Zadros

ERMITAŻ

Pół wieku upływało od chwili, gdy car Piotr I na niewielkiej wyspie omywanej wodami Newy założył Twierdzę Pietropawłowską. Na błotach, dzięki trudowi chłopów pańszczyźnianych, powstała nowa stolica carskiej Rosji – Sankt Petersburg. Niewielki pałac na lewym brzegu Newy na przeciw twierdzy przestał zadowalać potrzeby carskiej rodziny. Jego blask przyćmiły już pałace Szermietiewa, Woroncowa, Stroganowa. Z takim stanem rzeczy nie mógł się zgodzić żaden dumny imperator rosyjski. Prostota w budownictwie z czasów Piotra I poszła w zapomnienie. Postanowiono na miejscu starego zbudować nowy gmach, który swoją okazałością nie tylko przewyższy pałace wielmożów rosyjskich, ale i za granicami imperium rozśławi imię samodzierzcy. Wprawdzie po śmierci Piotra I w Rosji panował chaos w gospodarce, a rewolucje pałacowe wynosiły do władzy coraz to nowych carów, ale środki na budowę symbolu potęgi imperium musiały się znaleźć.

Gmach zbudowano w latach 1754-62 według projektu, którego autorem był słynny budowniczy Bartolomeo Francesco Rastrelli. Powstał ogromny czworokątny gmach, zwrócony swoimi dłuższymi stronami (po 200 m) do Newy i rozległego placu, nazwanego Pałacowym. Architektura uwzględniała wszystkie osobliwości otoczenia. Od strony rzeki architekt podkreślił długość gmachu, z przeciwnej strony – mocno zaakcentował środek pałacu, umieszczając tam trzy łuki i wysuwając do przodu całą część środkową. Jeszcze dzisiaj architektura Pałacu Zimowego sprawia wielkie wrażenie. Na zielonym



tle ścian wydziela ją się białe kolumny i półkolumny, postawione jedna nad drugą, gdzieś zebra ne w pęki po dwie, trzy. Dach wieńczy las 178 posągów i waz. Patrząc na okazały gmach dziwimy się bujności fantazji twórczej budowniczego i niezwykle mu mistrzostwu tysięcy rosyjskich majstrów pańszczyźnianych, którzy prostymi narzędziami rzeźbili najtrudniejsze ornamente. Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie sprawiał Pałac Zimowy ponad dwieście lat temu – nowo wybudowany, lśniący świeżą farbą, rozległy i okazały. Również jego wnętrze było pełne bogatych

rzeźb z najdroższych i najbardziej wyszukanych rodzajów budulca skalnego. Obrazu dopełniały figury rycerzy i nimf, główki amorków, maski i wazy. Wszystkie ozdoby stanowiły jedną harmonijną całość.

Już w 1764 r. Katarzyna II zakupiła pierwszą kolekcję obrazów i rzeźb dla pałacu. Zaczęły napływać następne, z różnych miast i państw Europy. Wkrótce, bo już w 1767 r., zakończono obok budowę pawilonu z galeriami przeznaczonymi dla dzieł sztuki. Budynek otrzymał nazwę Ermitaż – miejsce osamotnienia, zwany później Małym Ermitażem. Dostęp do galerii miała tylko caryca ze swiątą. Zbiory wciąż rosły, miejsca dla ich ekspozycji nie wystarczało. W 1787 r. wykończono drugi gmach (arch. Georg Veldten), zwany dziś Starym Ermitażem i Teatr Ermitażu (arch. Giacomo Quarenghi), połączony z resztą pałacu łukiem przerzuconym przez kanał Zimowy Ściek. W 1805 r. Ermitaż przestał być „miejscem osamotnienia” cara. Zaczęto wybrańcom wydawać zezwolenia na obejrzenie eksponatów muzeum. Po pożarze w 1837 r. Pałac Zimowy szybko odbudowano i rozszerzono, dołączając gmach Nowego Ermitażu (1842-52), zbudowanego według projektu architektów Leona von Klenze i Nikołaja Jefimowa. Dwa razy w tygodniu widzowie mogli obejrzeć bogate zbiory muzealne Ermitażu, jednakże otrzymać bilety było nadzwyczaj trudno. Po Rewolucji Październikowej cały kompleks gmachów Pałacu Zimowego stał się własnością państwa i został oddany pod ekspozycje Ermitażu. Zbiory muzealne znacznie powiększono. W latach II wojny światowej, podczas blokady Leningradu trwającej 872 dni, w Ermitażu pozostało około miliona eksponatów. Pracownicy muzeum, naukowcy i kustosze, mimo głodu i zimna, zamieszkali w piwnicach pałacu, by bronić go przed pożarami, by naprawiać uszkodzenia. Po złamaniu blokady powstała tu specjalna szkoła restauratorów, którzy zajęli się renowacją unikatowych zabytków kultury, zniszczonych przez hitlerowców, które 11.10.1945 r. wrócili z ewakuacji i już 4 listopada w 69 salach pojawili się pierwsi po wojnie zwiedzający.

Dzisiaj kolekcje Ermitażu liczą około 3 mln eksponatów, zebranych w prawie 400 salach pięciu historycznych gmachów – carskiego kompleksu Pałacu Zimowego nad Newą. Ostatnio, by zmieścić rosnące zbiory, umieszczono je jeszcze w dwóch gmachach: w Sztapie Generalnym (wschodnie skrzydło) i w Pałacu Mienszykowa. Eksponaty opowiadają o kulturze i sztuce pierwotnego człowieka na terytorium Rosji i Wspólnoty Niepodległych Państw, o sztuce dawnych Chin, Indii, Egiptu, Asyrii, Babilonii, Grecji, Imperium Rzymskiego. Są tutaj cenne dzieła sztuki średniowiecznej i nowożytnej; oryginalne obrazy Leonarda da Vinci, Rubensa, Rafaela, Michała Anioła, Tycjana, Rembrandta, van Dycka przedstawiają sztukę Europy Zachodniej. Liczne sale i schody same są pomnikami sztuki. Do nich należą: Sala Georgijewska, Galeria 1812 r., Sala Herbowa, Schody Jordańskie, Główne Schody Nowego Ermitażu i inne. W Ermitażu mieści się skarbiec pełen złota i ekspozycja Muzeum Aleksandra Puszkina, opiewająca talent rosyjskiego wieszca. Tutaj urządzi się też wystawy okolicznościowe.

Wielokrotnie zwiedzałem Ermitaż, za każdym razem wybierając jedną z trzech kondygnacji do dokładniejszego zapoznania się z eksponatami. Nigdy nie udało mi się przejść wszystkich sal podczas jednego dnia zwiedzania. Nic dziwnego, bo musiałbym w jednym dniu przejść drogę 24 km. Ermitaż – to największe muzeum Rosji, a wśród muzeów świata tylko kilka może się z nim równać.

Janusz Fuksa

Symposium górskie w Krakowie

Komisja Turystyki Górskiej ZG PTTK zorganizowała 3.12.2011 r. w Centralnym Ośrodku Turystyki Górskiej PTTK w Krakowie Symposium, którego tematem przewodnim były Sudety. Spotkanie poprowadził przewodniczący KTG Jerzy Gajewski.

Pierwszy wystąpił Jacek Pielich. Omówił on rozwój i powolny upadek linii kolejowych w Sudetach, ukazując, jak budowano linie kolejowe pozwalające docierać w coraz to nowe rejony Sudetów. Pozwalało to na szybki rozwój gospodarczy terenów przyległych do tych linii, ale także sprzyjało rozwojowi ruchu turystycznego. Niestety, od lat 90. XX w. następuje ograniczanie przewozów przede wszystkim towarowych i dlatego nierentowne linie są likwidowane.

Jacek Potocki zaprezentował dzieje zagospodarowania turystycznego Sudetów. W 1866 r. dla nizinnych Prus, Karkonosze, będąc już ogólnodostępne, stały się niezwykle atrakcją. W 1935 r. przybywający tu to głównie mieszkańcy Berlina (30%) i Wrocławia (13%). Przed II wojną światową tylko Karkonosze były tak dobrze zagospodarowane. Powstałe organizacje turystyczne: Towarzystwo Karkonoskie (Riesengebirgsverein – RGV) czy Kłodzkie Towarzystwo Górskie (Glatzer Gebirgsverein – GGV), zaczęły wytyczać szlaki turystyczne. Zaczęła także powstawać baza noclegowa, zarówno turystyczna (Karpacz, Szklarska Poręba), jak i sanatoryjna (uzdrowiska), w tym schroniska młodzieżowe. Wznoszono też wieże widokowe. Powstawały połączenia autobusowe uzupełniające połączenia kolejowe. W latach 50. XX w. zaczęto znakować szlaki na zupełnie nowych zasadach niż przed wojną. Po 1989 r. pojawiły się nowe przejścia graniczne, co zaowocowało wytyczeniem szlaków przekraczających granice. Zmianie uległa baza noclegowa. Jak kiedyś przeważały małe obiekty, tak potem podstawową bazą stały się wielkie hotele i ośrodki wczasowe. Różnica pomiędzy bazą noclegową istniejącą po stronie polskiej a czeskiej wynika z zależności powstawania nowej bazy a stanem zaludnienia danego obszaru. Po śląskiej stronie wyjechali Niemcy i w ich miejsce przybyli Polacy, którzy musieli opuścić Kresy, dlatego ilość ludności zbytnio się nie zmieniła, chociaż w ostatnim czasie nieco spadła.

Jednak miejsca noclegowe przybywały tylko wtedy, gdy budowano nowe obiekty. Natomiast u Czechów w miejsce Niemców, którzy wyjechali, nie przybyli nowi mieszkańcy, bo ich po prostu nie było, stąd uwolniona tak wielka ilość substancji mieszkaniowej została przekształcona w nowe miejsca noclegowe.

Bartłomiej Ranowicz podjął się przedstawić organizacje turystyczne w Sudetach, ograniczając się do turystyki studenckiej, nazywanej przez niektórych turystyką akademicką. Według niego taki rodzaj turystyki



Bartłomiej Ranowicz prezentuje serię pięknych znaczków Uniwersyteckich Rajdów Marzanny



Autor podczas prezentacji

jest niezwykle ze względu uprawiania tej turystyki przez ludzi młodych, którzy będąc stanu wolnego nie mają większych obowiązków, oczywiście poza nauką. Nie mają wielkich wymagań, jeśli chodzi o warunki, w jakich przyjdzie im podróżować czy przebywać. Wynika to także z zasobności ich

portfeli. Dawniej wiele imprez studenckich było finansowanych przez Państwo, dzisiaj, niestety, już tak nie jest. Przekłada się to zatem na zmniejszenie aktywności turystycznej obecnych studentów. Ruch studencki odegrał znakomitą rolę w historii turystyki w ogóle. Oto 16.01.1957 r. powołano Akademicki Klub Turystyczny (AKT) we Wrocławiu. Wkrótce powstało Studenckie Koło Przewodników Sudeckich (SKPS). Zaczęto organizować pierwsze rajdy. Równie ważna jednak w turystyce studenckiej była działalność wydawnicza. Na pewno każdy zetknął się z takimi tytułami, jak *Karkonosz* czy *Pielgrzymy*. To właśnie w nich zamieszczali swoje publikacje wtedy początkujący, a dzisiaj uznani krajoznawcy.



Marek Szot przedstawił krzyże pokutne w Sudetach na przykładzie Ziemi Kłodzkiej. Wyjaśnił, że z używanych ostatnio dwóch nazw tych obiektów wciąż oficjalną jest krzyż pokutny, a nie krzyż pojednania. Przybliżył również cel stawiania takich obiektów, wprowadzając też element humorystyczny. Otóż krzyż z Lewina Kłodzkiego znajduje się ciągle w areszcie. Wynika to stąd, że stojąc na swoim pierwotnym miejscu, czyli na granicy dwóch działek, stał się obiektem pożądania przez właścicieli obu posesji. W celu niedopuszczenia do tragedii lokalne władze przenieśli czasowo obiekt do muzeum w Kłodzku, gdzie oczekuje on na wyznaczenie nowego miejsca jego usytuowania. Oczywiście także w Lewinie Kłodzkim. Ostatnim mówcą był autor, który podzielił wystąpienie na trzy części. Najpierw odniósł się do samego faktu istnienia tzw. chatki w Karkonoszach. W drugiej części wystąpienia zaprezentował ich zdjęcia, omawiając na tej podstawie wygląd poszczególnych obiektów i zmiany w wyglądzie oraz w najbliższym otoczeniu. W ostatniej części wystąpienia zaprezentował on śpiewaną przez Karola Płudowskiego piosenkę, w której przedstawia Chatkę AKT, a raczej jej atmosferę.

Mimo że czas zaplanowanych prezentacji został znacznie przekroczony, nikt nie uskarżał się. Mało tego, znalazły się osoby zainteresowane poszczególnymi tematami, dlatego wymieniały się one z prowadzącymi adresami, tak by móc prowadzić dyskusję dalej. Niektórzy ze słuchaczy okazali się posiadać informacje zmieniające nieco wygłoszone tezy. Pozwoli to mówcom uaktualnić ich wiedzę, jeśli oczywiście przekazane informacje potwierdzą się. Gdyby nie zebranie Klubów Górskich, jakie miało miejsce w tej samej Sali, dyskusja pewnie trwałaby do późna. Ukazano piękno Sudetów i ciekawe fakty z ich dziejów, a także zdradzono kilka tajemnic. Miejmy nadzieję, że osoby, na co dzień zaurczone Karpatami, postanowią wyruszyć, dla odmiany, w Sudety, w Karkonosze. Na pewno tego nie pożałują, dowiedzą się bowiem, że góry są piękne wszędzie. Nie tylko za naszym oknem.

Krzysztof Tęcza

Nauczyciele Przodownikami Turystyki Górskiej

Z inicjatywy Honorowego Przodownika TG Zdzisława Gasza egzaminem 20.08.2011 r. zakończył się dwutygodniowy kurs (8-20.08.2011 r.) dla nauczycieli-kandydatów na przodowników TG, przeprowadzony przez Oddział PTSM „Ziemi Jeleniogórskiej” oraz PTTK Oddział „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze.

Kurs odbył się dwóch zespołach. Pierwszy wędrował przez Beskidy Zachodnie, od Wisły do Nowego Sącza. Drugi – przez Beskidy Wschodnie, od Leska do Nowego Sącza z możliwością zdobycia uprawnień na Beskidy Zachodnie i Wschodnie. Obie grupy spotkały się w Schronisku PTSM w Nowym Sączu. Pierwsza, dziewięcioosobowa grupa, prowadzona przez PTG Tadeusza Prawelskiego, rozpoczęła wędrowkę przeszła przez Beskid Śląski, Beskid Mały, Żywiecki, Orawę (z przyczyn finansowych omijając sporą wędrowkę przez Gorce), zahaczając lekko o Beskid Wyspowy, następnie Pieniny, Spisz i Beskid Sądecki udała się do Nowego Sącza. Grupa druga, ośmioosobowa pod kierownictwem PTG Pawła Kasprzyka, wędrowała z Bieszczadów przez Beskid Niski. Noclegi zorganizowane były w domach wypoczynkowych i schroniskach PTTK i PTSM.

Wielkich przeżyć dostarczyło profesjonalnie przygotowane nocne wejście na Babią Górę z podziwianiem wschodu słońca. Wędrowkę przez góry urozmaicały zwiedzane po drodze obiekty krajoznawcze, a umieszczone w Kanonie Krajoznawczym Polski – grupa zachodnia zwiedziła •ródła Wisły, Koniaków i Istebną, Park Etnograficzny w Zubrzycy Górnej, Babiogórski i Pieniński Park Narodowy, Muzeum Przyrodnicze Babiogórskiego i Pienińskiego PN, kościół w Orawie i Dębnie, Wąwóz Homole, Park Etnograficzny w Nowym Sączu. Grupa „Zachodnia” przeszła przez dwanaście punktów pośrednich zaliczanych dla wycieczek wielodniowych na duże stopnie GOT. Wędrowka przez Beskidy Zachodnie dodatkowo wzbogacona była o liczne przyrodnicze niespodzianki. Trzykrotnie w odległości 10 m przebiegały wystraszone jelenie. Idąc na Babią Górę na ścieżkę napotkano salamandry płamiste, również w Pieninach przywitała uczestników salamandra pasiasta. W Pieninach Małych spod nóg w ostatniej chwili uciekła na Słowacką stronę żmija zygzakowata, a w Beskidzie Sądeckim tuż nad Szczawnicą rosły okazałe dziewięciły beżłodygowe i przelatywały dużych rozmiarów koziorogi dębosze. W Pieninach uczestnicy mieli okazję skorzystać dodatkowo ze spływu tratwami po Dunajcu

Grupa „Wschodnia” na początku szkolenia poznała atrakcje krajoznawcze Sanoka, Leska, Soliny i Polańczyka. Podczas pobytu w Bieszczadach zrealizowano piesze wycieczki po Paśmie Granicznym, Paśmie Połonin, Gnieździe Tarnicy, Grupie Łopiennika i Durnej oraz w Wysokim Dziale – uczestnicy Kursu przeszli przez osiem punktów pośrednich dla wycieczek wielodniowych na duże stopnie GOT oraz zwiedzili Ośrodek Kultury Turystyki Górskiej „Zielony Domek” w Ustrzykach Górnych. W części kursu, obejmującej poznanie Beskidu Niskiego, zwiedzono Komańczę, Jaśliska, Duklę, cerkiew w Polanach, Ośrodek Edukacyjny wraz z Muzeum Magurskiego PN oraz cmentarz ofiar I wojny światowej w Krempnej, cerkiew św. Kosmy i Damiana w Bartnem (Oddział Muzeum w Gorlicach), Wysową-Zdrój, a także Stary i Nowy Sącz. Piesze wycieczki po Beskidzie Dukielskim, Paśmie Magurskim oraz Górach Hańczowskich przebiegały przez siedem punktów pośrednich dla wycieczek wielodniowych na duże stopnie GOT.

Każdy z uczestników prowadził jedną wycieczkę całodniową, co dawało możliwość doskonalenia umiejętności planowania i realizacji wycieczek. W ramach samokształcenia kursanci referowali zagadnienia związane ze znajomością pasm górskich (geologia, topografia, ochrona przyrody, szlaki turystyczne, atrakcje krajoznawcze). Prowadzący kurs P. Kasprzyk prowadził zajęcia poświęcone znajomości Pogórzy: Ciężkowickiego, Strzyżowsko-Dynowskiego i Przemyskiego, oraz zagadnień dotyczących Bitwy Gorlickiej 1915 r., cmentarzy z okresu I wojny światowej, Operacji Dukielsko-Preszowskiej 1944 r. i Akcji „Wisła” 1947 r. Natomiast T. Prawelski realizował zajęcia dotyczące wszystkich pasm górskich i pogórzy w Beskidach Zachodnich, nie omijając historii, folkloru i kultury regionalnej. Do egzaminu w Nowym Sączu przystąpiło 12 osób (5 z obszaru Beskidów Zachodnich i 7 z obszaru Beskidów Wschodnich). Egzamin podzielony został na dwa etapy. Pierwszy składał się z części testowej, drugi miał formę ustną. Dodatkowo trzy osoby (posiadające kwalifikacje przewodnika beskidzkiego), po zdaniu egzaminu na obszar Beskidów Wschodnich przystąpiły również do egzaminu obejmującego Beskidy Zachodnie i poszerzyły swoje uprawnienia o tę grupę górską. Komisję egzaminacyjną tworzyli kierownicy tras: Tadeusz Prawelski, Paweł Kasprzyk oraz organizator kursu Zdzisław Gasz.

Maciej Maśliński

40 lat przyjaźni

Powiedzieć o Krakowie, że jest miastem wyjątkowym, magicznym, pełnym tajemnic, nie jest niczym innym, jak powielaniem banałów atakujących turystów z folderów, plakatów czy witryn internetowych. Przeciętny krajoznawca zatrzymuje się w mieście na 2-3 godz., najczęściej w drodze do Zakopanego. W tym czasie przespaceruje się najbardziej oczywistym krakowskim szlakiem: od Barbakanu ul. Floriańska do Rynku Głównego, a następnie Traktem Królewskim na Wawel. Jeśli ktoś przyjedzie do Krakowa na kilka dni, będzie miał czas przejść się na Kazimierz, Podgórze, Zwierzyńiec, Salwator..., być może nawet do Nowej Huty. Raczej nikt nie wróci do domu rozczarowany; Kraków nie bez powodu cieszy się opinią dostojnego grodu.

Głębszą wiedzę na temat miasta można uzyskać dzięki inicjatywie Koła Grodzkiego PTTK, organizatora akcji „Zdobynamy Odznakę Przyjaciela Krakowa”. W jej ramach w każdą sobotę, niedzielę oraz inny dzień świątecznym (począwszy od listopada aż do Świąt Wielkanocnych) odbywają się prowadzone przez przewodników miejskich spacer po Krakowie. Ich tematy są zróżnicowane, od bardzo ogólnych dla zwykłych obywateli odznaki brązowej po coraz bardziej uszczegółowione w przypadku wyższych stopni odznaki. W ciągu sezonu Koło Grodzkie proponuje ponad 120 wycieczek miejskich, w trakcie których uczestnicy mogą poznać poszczególne style architektoniczne, ważne dla miasta wydarzenia, postaci, ale również charakterystykę poszczególnych dzielnic i obiektów, obronność, działalność artystyczną w ciągu dziejów i wiele innych. O ich atrakcyjności decyduje jednak przede wszystkim połączenie bezpośredniego kontaktu z omawianymi miejscami z doskonałymi umiejętnościami przewodnickimi osób prowadzących.

W 2011 r. akcja odbywała się po raz czterdziesty, nieustannie ciesząc się ogromną popularnością. Spektakularny sukces pierwszej edycji zaowocował następnymi i w ten sposób przerodziła się ona w imprezę cykliczną. Na pierwszy spacer w 1972 r. na zbiórkę pod Wieżą Ratuszową przyszło aż 800 uczestników, natomiast od początku trwania akcji do dziś wzięło w niej udział ponad 600 tys. turystów, którzy zdobyli ponad 30.000 odznak. Akcja zyskała już wierne grono sympatyków, biorących w niej udział regularnie od lat. Koło Grodzkie może się więc pochwalić naprawdę niebanalnymi osiągnięciami i ogromnym doświadczeniem. Aby podkreślić wyjątkowość akcji należy dodać, że biorą w niej udział uczestnicy we wszystkich grupach wiekowych, zarówno doświadczeni turyści, jak i młodzież szkolna zainteresowana swoim miastem. Wiele osób przychodzi na spacer, mimo że już dawno zdobyli cały komplet odznak. Zarówno pod względem organizacyjnym, jak i merytorycznym akcja przygotowana jest absolutnie perfekcyjnie. Zaangażowanie i profesjonalizm organizatorów, ciekawy pomysł na imprezę i atrakcyjność miejsca, w którym się odbywa przyniosły efekt w postaci naprawdę wyjątkowej oferty, jaką nie mogą się pochwalić nawet najlepsi touroperatorzy. Świadczy to o tym, że prawdziwe sukcesy odnosi się przede wszystkim dzięki osobistej motywacji i szczeremu entuzjazmowi, a nie zachętom finansowym. Należy przy tym zaznaczyć, że uczestnictwo w spacerach poza symbolicznymi opłatami za wstępy do muzeów lub innych obiektów jest całkowicie bezpłatne. Finansowego wsparcia udziela inicjatywie Urząd Miasta Krakowa, natomiast patronat medialny objęła „Gazeta Krakowska”.

Przyjęta formuła akcji „Zdobynamy Odznakę Przyjaciela Krakowa” trochę utrudnia uczestnictwo w niej turystom spoza miasta. Nie oznacza to jednak, że tacy nie biorą w niej udziału. W 2011 r. najwyższy stopień odznaki, złoty z pawim





piórem, zdobyła trzyosobowa grupa warszawiaków, co Koło Grodzkie starannie podkreśla na swojej stronie internetowej, jako wiadomość bardzo budującą każdą krakowską duszę. Wszyscy są tu zatem mile widziani. Jeśli więc jakiś krajoznawca może poświęcić kilka zimowych weekendów na pobyt w Krakowie, war-

to wziąć w niej udział. Poza zdobyciem cennej odznaki pozwala ona przede wszystkim uzyskać ciekawą wiedzę na temat miasta od ludzi głęboko nim zafascynowanych.

Poznając Kraków jako turysta łatwo ulec fascynacji tym miejscem. W każdym zakątku ma się tutaj kontakt ze świadectwami historii nie tylko naszego kraju, ale i Europy. Warto zainteresować się nimi bliżej, co Koło Grodzkie bardzo ułatwia rzeszom turystów oraz krakowianom, którzy na co dzień zmagają się z takimi samymi problemami, jaki mieszkańcy innych miast – zakorkowanymi ulicami, zatłoczonymi tramwajami. Akcja „Zdobynamy Odznakę Przyjaciela Krakowa” pozwala poznać prawdziwą wyjątkowość, magię oraz odkryć często zaskakujące tajemnice tego miasta.

Autorem zdjęcia Zamku Królewskiego jest Wojciech Czopowski. Zdjęcia odznak pochodzą ze strony internetowej Koła Grodzkiego.

Waldemar Jankowski

Jeleniogórska Ścieżka Filmowa

W listopadzie ub. roku minęło 115 lat od pierwszego publicznego pokazu filmów, jaki miał miejsce 10.11.1896 r. w Domu Koncertowym (obecnie Jeleniogórskim Centrum Kultury przy ul. Bankowej). Zaprezentowano wówczas publiczności pięć krótkich filmów przedstawiających ruch uliczny w Paryżu, życie w nadmorskim kąpielisku, pobyt rosyjskiego cara w Paryżu, defiladę wojskową oraz tancerki. Był to pierwszy tego typu pokaz w Jeleniej Górze, stąd część gości dysponowała zaproszeniami, a część musiała wykupić bilet. Zapewne pokaz ten spodobał się, gdyż od tej pory podobne projekcje miały miejsce, ilekroć operatorzy dysponowali nowym repertuarem, a odbywały się one w różnych lokalach. Dopiero w 1909 r. powstało pierwsze kino „Welt-Theater”, znane w okresie powojennym jako „Marysieńka”. Nazwę taką wymyślił pierwszy powojenny kierownik kina Józef Krakowski na cześć swojej żony Marii. W 1912 r. powstało drugie kino o nazwie „Kronprinz-Lichtspielhaus”, umieszczone w sali tanecznej istniejącego od połowy XIX w. zajazdu „Kronprinz”. Funkcjonowało ono do 1917 r., kiedy zmarł jego twórca Franz Hadrich. Dopiero w 1951 r. uruchomiono tu ponownie nowe kino nazwane „Turysta”. Było to miejsce, do którego przychodziły głównie dzieci i młodzież. W 1913 r., po remoncie kamienicy przy obecnej ul. Krótkiej, otworzono kino „Apollo Theater”. Według dokumentów pierwszy pokaz filmowy zorganizowano tu dużo wcześniej, bo 30.04.1897 r. Ze względu na regularność projekcji uważa się, iż jest to najstarsze stałe kino w mieście. Po wojnie nazwano je „Tatry”. Obecnie nowy właściciel zmienił nazwę na „Grand”. Pierwsze w historii „prawdziwe” kino zbudowano w 1937 r. i nazwano je „Capitol”. Było ono nie tylko najnowocześniejsze, ale i największe. Mogło pomieścić 666 osób. Po wojnie, wykorzystując zachowane litery neonu, zmieniono nazwę na „Lot” i było to tzw. kino premierowe. Muszę tu wspomnieć o uruchomionym w 1957 r. kinie „Śnieżka”, dysponującym aż 754 miejscami. Nie było to jednak tak nowoczesne kino, jak „Lot”. Funkcjonowało ono na terenie jednostki wojskowej i zaprzestało działalności wraz z likwidacją garnizonu. Nie działają dziś także, z opisanych powyżej, „Turysta” i „Marysieńka”. Nie wspominam o kinach znajdujących się obecnie w Jeleniej Górze, które powstając mieściły się w samodzielnych miejscowościach wchodzących obecnie w skład tego miasta. Na uwagę zasługuje fakt istnienia kin objazdowych oraz wyświetlania filmów, np. w kościołach, salach domów kultury czy w salkach różnych firm.



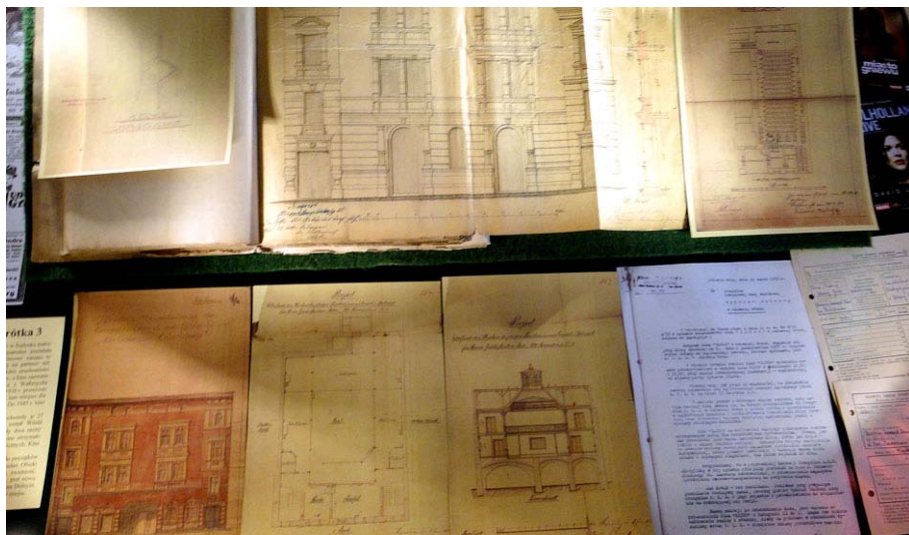
Wróćmy jednak do chwili obecnej. Dla uczczenia tak ważnej dla mieszkańców rocznicy zorganizowano „Jeleniogórską Ścieżkę Filmową”. Wydarzenie to objęło zarówno wystawę w Archiwum Państwowym przy ul. Podchorążych, jak i projekcje ruchomych obrazów w JCK, przy ul. Bankowej, a więc w tym samym miejscu, w którym miała miejsce pierwsza projekcja 115 lat

temu. Na wystawie zaprezentowano zbiory dotyczące opisywanych wyżej kin. Możemy nie tylko zapoznać się z historią każdego z nich, ale także obejrzeć plany obiektów, w których one działały. Zobaczymy też różne pamiątki, jak bilety, opisy, programy, zdjęcia, ale i ciekawostki, choćby dwa ogłoszenia prasowe z „Hirschberger Tageblatt” z 1896 r., informujące o pierwszych pokazach filmowych. Oba niby jednakowe, różnią się datami: pierwsze jest z 9 listopada, drugie z 10 listopada. Ale jest na nich pewien błąd. Na pierwszym widnieje Pinomatograph, na drugim Kinematograph. Dla wprowadzenia atmosfery panującej na dawnej sali kinowej uruchomiono prawdziwy projektor. I mimo, iż nie było w nim taśmy filmowej, to sam trzask aparatu przybliżył atmosferę, jaka panowała w dawnych kinach. Dla umilenia przybyłym czasu występował duet Piotr i Sebastian, którzy grali i śpiewali największe standardy filmowe, zarówno starsze, jak i zupełnie nowe. Warto było posłuchać.

Na drugą część projektu zaproszono przybyłych do JCK „Kwadrat”, dawnego „Konzerthausu” – miejsca, w którym miała miejsce wspomniana projekcja „żywych fotografii” przed 115 laty. Tutaj gospodarzem był kierujący JCK Waldemar Wilk. I tak jak podczas wystawy w Archiwum Państwowym, Ivo Łaborewicz – jego dyrektor, wprowadził w świat zachowanych dokumentów związanych z kinem, tak tutaj W. Wilk przedstawił wszystkim, niektórym zaś (starszym widzom) przypomniał, jaka jest różnica pomiędzy kinem sprzed lat a kinem obecnym, w którym podstawową rolę odgrywiają komputery. Z jego słów wyłaniał się obraz święta, obraz magii. Dawniej wyjście do kina stanowiło cały rytuał. Widzowie szykowali się do tego już w domu. Często na taką okazję ubierali się odświętnie, a podczas projekcji wyzwalali się prawdziwe emocje i osoby zgromadzone na widowni nie wstydzili się ich okazywać. Oczywiście mówimy tutaj o pozytywnych emocjach. Po wprowadzeniu rozpoczęto projekcję filmów braci Augusta i Ludwika Lumiere, m.in. „Przyjazd pociągu na stację”. Pokazano także film Bustera Keatona „Młody Sherlock Holmes” oraz wyniki sondy, podczas której jego twórcy, Agnieszka Romanowska i Maciej Bartkiewicz, zadawali przechodniom pytania dotyczące kina. Odpowiedzi, jakie padały, nieraz były zaskakujące.

Organizatorami powyższych wydarzeń była Książnica Karkonoska, Archiwum Państwowe, JCK „Kwadrat” i Towarzystwo Przyjaciół Jeleniej Góry. Słowa uznania za włożoną pracę należą się imiennie dla osób zaangażowanych w nie bezpośrednio. Są to: Agnieszka Romanowska, Ivo Łaborewicz, Krzysztof Kuczyński, Waldemar Wilk, Maciej Bartkiewicz i Natalia Zatka.

Krzysztof Tęcza



Noworoczne spotkanie przewodników turystycznych

W pierwszą sobotę Nowego 2012 Roku odbył się uroczysty, już 22. „opłatek przewodnicki”. Trójka redakcyjnych przewodników: Krzysztof R. Mazurski, Andrzej Rumiński i niżej podpisany, także wzięła w nim udział. Spotkanie w sali gotyckiej Muzeum Archidiecezjalnego we Wrocławiu rozpoczęło się w samo południe. Zgodnie z wieloletnią tradycją był to opłatek ekumeniczny, z udziałem duchownych kościołów: rzymsko-katolickiego i ewangelicko-augsburskiego. Z terenu działania Dolnośląskiej Federacji Przewodnickiej PTTK (Dolny Śląsk i Opolszczyzna) przybyło około 120 przewodników. W części oficjalnej głos zabrał Metropolita Wrocławski ks. arcybp Marian Gołębiowski. Bardzo ciepło wypowiadał się o pracy przewodników. Żartobliwie stwierdził, że czasami troszkę ich podsłuchuje, „ale oni mówią prawdę”. Głos zabrał również ks. bp Edward Janiak, który jest Przewodniczącym Rady ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek Komisji Konferencji Episkopatu Polski. Biskupi złożyli wszystkim przewodnikom i ich rodzinom serdeczne życzenia noworoczne. Ks. Waldemar Pytel – prezes Synodu Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego (luterńskiego), reprezentujący ks. bpa Ryszarda Bogusza, prócz życzeń, obdarował zebranych niezwykle upominkiem. Był nim efektowny folder „Odwiedź Kościół Pokoju w Świdnicy”. Wkładkę do niego stanowi autentyczny fragment starego gontu z tego wspianego zabytku.



**Przedstawiciele duchowieństwa (od przodu):
ks. Waldemar Pytel i ks. arcybp Marian Gołębiowski**

Przewodnikom wręczono szereg wyróżnień. Przewodniczący DFP Tadeusz Jurek podziękował wszystkim za działalność przewodnicką w minionym roku i życzył równie dobrej w nowym. Część oficjalną zakończył występ artystów ze Stowarzyszenia Estradowego „Polest”. Były kolędy (śpiewali wszyscy obecni) i niezapomniane melodie, m.in. operetkowe. Rzęsiste brawa nagrodziły artystom ich występ. W części nieoficjalnej odbyła się degustacja pieczywa. Duży wybór, pyszne – wielkie dzięki dla Piekarni Milickiej Jana Kurzyńskiego! Przekąszając można było sobie z kolegami rozmawiać. Takie kuluary to ważna część



Zasłuchani przewodnicy

spotkania. Nad całością opłatka czuwał niezastąpiony Duszpasterz Przewodników Archidiecezji Wrocławskiej ks. prof. Józef Pater. Tak uroczyście wkraczając w Nowy 2012 Rok przewodnicy turystyczni mogą mieć nadzieję, że będzie on dla nich ze wszech miar udanym, a czekają ich na pewno wybieżki związane z mistrzostwami Euro 2012.

Redakcja dołącza się do wszystkich tych życzeń!

Wojciech Radliński

„Dolnośląski krajobraz kalejdoskopem jest...”

W auli Wydziału Architektury Politechniki Wrocławskiej odbyła się 10.12.2011 r. sesja, zatytułowana „Dolnośląski krajobraz kalejdoskopem jest”. Było to ostatnie w tamtym roku spotkanie z cyklu seminariów krajoznawczych „Mijające krajobrazy Polski”, którego pomysłodawcą jest przewodniczący Komisji Krajoznawczej ZG PTTK dr Józef Partyka. Głównym pomysłodawcą i organizatorem sesji był prof. Krzysztof R. Mazurski ze wspomnianego Wydziału, który w latach 2001-2009 przewodniczył komisji Krajoznawczej. Wydarzenie to zostało objęte honorowym patronatem dziekana Wydziału, prof. Elżbiety Trockiej-Leszczyńskiej.

Punktualnie o godz. 10 sesję rozpoczął prof. Krzysztof R. Mazurski, który przedstawił najważniejsze informacje organizacyjne. Otwarcie uświetnione zostało przez wystąpienie Pani Dziekan, witającej wszystkich gości. We wstępie głos zabrał także dr Józef Partyka, przewodniczący KKraj. ZG PTTK, który zapoznał z ideą cyklu sesji krajoznawczych „Mijające krajobrazy Polski” oraz przedstawił pokrótce dotychczasowe spotkania. Po uroczystym wprowadzeniu nastąpiła miła niespodzianka. Henryk Paciej, prezes O. Regionalnego PTTK Śląska Opolskiego, wręczył w imieniu Porozumienia Oddziałów PTTK Woj. Opolskiego prof. Mazurskiemu i dr. Partyce, byłemu i obecnemu przewodniczącemu KKraj. ZG PTTK, okolicznościowe medale.

Na początku pierwszej części wykładowej głos zabrał prof. Krzysztof R. Mazurski. Przedstawił on zagadnienia dotyczące pojęcia krajobrazu oraz sposoby i charakterystykę jego oceny. W kolejnym wystąpieniu prof. Alina Drapella-Hermannsdorfer zwróciła uwagę na procesy, jakim może podlegać krajobraz: konserwacji lub też ewolucji. Posługując się przykładem wrocławskiego Parku Szczytnickiego, opisała historię zmian, jakim podlegał ten piękny obszar zieleni. Następnym prelegentem był dr Krzysztof Widawski, który podjął się, jak sam stwierdził, niezwykle trudnego zadania przedstawienia tysiącletniej panoramy dziejów Dolnego Śląska. Omówił wydarzenia i ludzi, którzy przez wieki wpływali na tworzenie się krajobrazu kulturowego regionu. Jako ostatni przed przerwą głos zabrał dr Roman Wytyczak. Zaprezentował on ponad stu słuchaczom przetrwałe fragmenty wiejskiego krajobrazu kulturowego z czasów średniowiecznej kolonizacji osadniczej w Sudetach.

Część drugą rozpoczęła prof. Barbara Lubicz-Miszewska, która



Henryk Paciej wręcza medal Krzysztofowi R. Mazurskiemu



Przemawia Józef Partyka

poprowadziła szlakiem znaków i symboli po dawnym krajobrazie Wrocławia. Przedstawiona w tym wystąpieniu archeologia krajobrazu miasta zainteresowała słuchaczy do poszukiwania oraz interpretowania relikwów przeszłości. Kolejna prezentacja, prof. Jacka Suchodolskiego, zapoznała ze schroniskami znajdującymi się w Sude tach. Prelegent podkreślił, jak ważnym komponentem, zarówno kiedyś, jak i dziś, są one w krajobrazie górskim. Urok dawnych uzdrowisk przybliżyła prof. Grażyna Balińska. Poprzez efektowne ilustracje wprowadziła uczestników w klimat i czar tamtych miejsc. Następne wystąpienie dotyczyło przebudowy krajobrazu leśnego Karkonoszy. Dr Andrzej Raj, dyrektor Karkonoskiego Parku Narodowego, zapoznał z efektami wieloletnich prac nad poprawą drzewostanu w KPN. Mgr inż. Hanna Ojrzyńska, na zakończenie części referatowej, przybliżyła problem przemijania krajobrazu wsi sudeckiej. Posługując się przykładem Gór Białskich, przedstawiła przemiany przestrzenne i architektoniczne na ich terenie. Ostatnim akcentem sesji było zaprezentowanie pięknych zdjęć – panoram najważniejszych dolnośląskich szczytów (Śnieżki, Śnieżnika i Ślęży) oraz Wrocławia. Zdjęcia wykonał i przedstawił Witold Papiernik, który współpracuje z magazynem „Sudety”.

Sesja „Dolnośląski krajobraz kalejdoskopem jest” z pewnością zwróciła uwagę na problemy zagrożeń polskiego krajobrazu i potrzebę jego ochrony. Jest to dobry sposób, aby uświadamiać społeczeństwo i wyrażać troskę o ochronę krajobrazu kulturowego przed postępującą degradacją. Zapowiedziano przy tym publikację wszystkich wystąpień.

Małgorzata Krawiec i Anna Sowińska

Foto: Krzysztof Maciejewski

CIEKAWY ZJAWISKO

Zwykle obserwujemy w górach efektowne „morza mgieł” lub „morza chmur”, rzadziej fascynujące i obrosnięte przypowieściami i legendami „widmo Brockenu”, czasami „cień wielkiej góry”, czyli cień szczytu rzucony na warstwę chmur. To ostatnie zjawisko też jest bardzo rzadkie. Będąc na Hali Miziowej widziałem pierwszy raz poziomą tęczę. Zwykle tęcza ma kształt półokręgu i spina dwie doliny lub dwa odległe zbocza. Tym razem całkiem pozioma tęcza była widoczna bardzo nisko i „wisała” nad Korbielowem Kamienną. Niemal wszyscy turyści nocujący wtedy w schronisku (kilkanaście osób) wylegli przed schronisko z aparatami, by sfotografować tę oryginalną tęczę. Jak to wyglądało? Proszę popatrzeć na zdjęcie.

Juliusz Wystouch



Beskidy to też góry

Zima idzie, nie ma na to rady. Tak zaczynał się poprzedni odcinek PORADNIKA. W grudniu podczas tej „zimy, nie zimy” dały o sobie znać Beskidy. W Tatrach, mimo niewielkiej pokrywy śnieżnej rozpoczął się sezon lawinowy. Oby wydarzenia z końca 2011 r. nie były złą prognozą na właściwy sezon zimowy w górach. Ale po kolei.

W grudniu miało miejsce pięć akcji poszukiwawczych w Beskidach, z tego cztery w najwyższych rejonach, na Pilsku i Babiej Górze. Zdecydowanie na pierwszym miejscu jest Babia. Tu ratownicy trzy razy wyruszyli na pomoc turystom. Pierwsza akcja to poszukiwanie zagubionego turysty 4 grudnia w godzinach wieczornych. Miała ona miejsce w rejonie szczytu i zakończyła się powodzeniem. Nie minęło wiele czasu i już 8 grudnia kolejne wyjście ratowników w partię szczytową, gdzie dwie osoby nie mogły znaleźć właściwej drogi. Zostały odnalezione i sprowadzone do schroniska. Kolejne poszukiwania turysty, zakończone szczęśliwym odnalezieniem go przy ruinach starego schroniska, miały miejsce 18 grudnia. To te ruiny po stronie południowej, mogące służyć jako chwilowe schronienie, ale bardziej jako punkt orientacyjny dla poszukiwanych i poszukujących. Dzień wcześniej trochę zajęcia mieli ratownicy GOPR w rejonie Pilska, gdzie zgubił się turysta. Szczęśliwie został odnaleziony i sprowadzony do schroniska. Partie szczytowe Pilska nie należą do łatwych orientacyjnie, o czym należy pamiętać. To tyle suchych faktów. Niech posłużą do przypomnienia, jak należy się poruszać zimą w tych dwóch masywach górskich.

Gdy góry pokryje śnieg, nawet niezbyt gruba warstwa całkowicie zmienia widok tego, co znamy z letnich wypadów. Zacierają się znajome i wyraźne kształty ścieżek, wszystko zlewa się w jedną białą powierzchnię. Jeśli dodać do tego ograniczoną widoczność, chmury, mgłę i zapadającą ciemność, otrzymamy niebezpieczną mieszankę. Potrafi ona omamić nie tylko turystów, którzy wchodzą na Babią, czy Pilsko pierwszy raz, nawet doświadczeni turyści znający teren mogą mieć problemy z orientacją. Jest takie miejsce na babiogórskim grzbiecie, które zwłaszcza w zejściu nastęrcza kłopotów. To miejsce, gdzie odchodzi na południe żółty szlak słowacki. Poniżej Diablaka w kierunku zachodnim grzbiet jest wypłaszczony, co utrudnia orientację według jego przebiegu. Gdy silny wiatr powali tyczki na szlaku czerwonym, a z powodu gęstej mgły lub opadu śniegu niewiele widać, wzrok turysty pada na najbliższą tyczkę. To może być tyczka szlaku słowackiego, o czym dowiadujemy się dopiero po przejściu 100-200 m. Schodząc wydaje się, że idziemy we właściwym kierunku – prosto, tymczasem grzbiet nieco skręca w prawo. Właśnie idąc prosto można trafić na słowackie tyczki. Wtedy koniecznie trzeba



Na Babiej Górze zimą



Babia Góra z Jałowca

wrócić, o ile się zachowały, po własnych śladach do szlaku grzbietowego i nie szukać skrótów. Bywa, że opad skutecznie utrudnia patrzenie. Huraganowy wiatr, niosący drobinki lodu, sprawia, że patrzy się przez zaciśnięte powieki, o ile oczy nie są dobrze zabezpieczone porządnymi goglami. Zresztą gogle jedynie ograniczają niemiłe doznania wynikające z takiej pogody. I tak niewiele widać. To warunki bardzo trudne, może nie skrajnie, ale jak na

nasze góry wystarczające, aby pozbawić turystę pewności siebie, spowodować wycieńczenie, wychłodzić organizm. Warto przejrzeć filmiki na *YouTube* pokazujące babiogórskie zimowe warunki. *Jednych to wystraszy, drugich to podnieci*, jak mówią słowa piosenki, ale może unaocni, czego można się spodziewać. Przypuszczam, że wielu turystów nie wyobraża sobie przebywania w takich warunkach. Powtórzmy: temperatura jakieś -10° , wiatr 120 km/godz., widoczność 5 m, opad śniegu. Mało? A gdy dodamy niewłaściwy często ubiór, otrzymamy przeżycia dość koszmarne. Kto nie jest na to przygotowany, lepiej niech się nie pcha. Przestrożą dla zimowych turystów niech będzie wspomnienie babiogórskiej tragedii z 1935 r., kiedy to czworo doświadczonych narciarzy zmarło w pobliżu szczytu.

Podobnie, mimo że nieco niżej (o 200 m), może być na Pilsku. Tam orientację ułatwiają urządzenia stacji narciarskiej. Parę rzędów słupów zawsze zaprowadzi z kopuły szczytowej w bezpieczniejsze miejsce, a nawet do schroniska. Jednak na samym rozłożystym wierzchołku już tak łatwo nie jest. Prawie płaska biała powierzchnia i punkty odniesienia, które słabiej zorientowanym niczego nie mówią (słupki graniczne, tablica informacyjna, itp.). Przy kiepskiej widoczności można się tam kręcić w kółko i nie znaleźć drogi powrotnej do schroniska. Pilsko było areną niejednej tragedii, z których największa miała miejsce 27.12.1980 r. Spośród szesnastu uczestników obozu sportowego, którzy wybrali się na Pilsko, zmarły trzy osoby, a ocaleni doznali ciężkich odmrożeń. Dzisiaj mamy do dyspozycji internet wraz z jego dobrymi i gorszymi stronami. Skorzystajmy z tych dobrych. Jeśli ktoś nie wie lub nie wierzy w opowieści o warunkach, jakie może zastać na Babiej lub na Pilsku, niech poszuka w sieci informacji o wypadkach turystycznych, niech obejrzy wspomniane filmiki pokazujące warunki, o których wielu „mieszczuchom” nawet się śniło.

Na początku zasygnalizowałem początek „sezonu lawinowego”. Choć śniegu niewiele, to już pod Rysami w końcu grudnia turyści „załapali się” w lawinę. Skończyło się na strachu, bo podczas próby wycofania się z zagrożonego terenu znowu zjechali z lawiną. W końcu poprosili o pomoc TOPR i ratownicy bezpiecznie sprowadzili ich do schroniska. Wspomniane wypadki z końca roku skończyły się pomyślnie, zatem... idźmy w góry, ale losu nie kuśmy.

Suplement.

Jakby było mało Rok 2011 od strony wypadków turystycznych i akcji GOPR i TOPR zamknięty został swoistą klamrą. Na przełomie 2011 i 2012 dwie sylwestrowo-noworoczne wyprawy przebiegły niekoniecznie po myśli ich uczestników. W rejonie Baraniej Góry grupa turystów zaplątała się w okolicach tej góry. Nie wystarczyły wskazówki GOPR przekazane przez telefon, skończyło się bezpośrednią interwencją ratowników. W Tatrach dwójka zapaleńców była ściągana z Niebieskiej Turni koło Świnicy. Turyści utknęli w trudnym terenie i tu także niezbędną okazała się pomoc ratowników.

Juliusz Wystouch

Fotografia elektroniczna (2)

Gdybyśmy w archiwum zapisywali foldery z datą, to komputer bardzo szybko odnalazłby poszukiwany folder. W ciągu roku byłoby ich jednak bardzo dużo, a ponadto dochodzą porozrzucane pokrewne tematy. W nazwie folderu nie używam kreski poziomej, jak przy pisaniu dat w programie Word lub Excel. Poziomą kreskę używam, jeżeli folder powstaje w ciągu kilku dni, np. „2011, 09, 12-14”. Tych folderów jest mniej, a i pliki, które powstały na jednej imprezie, będą w jednym folderze. Strukturę folderu pokażę na przykładzie folderu „CZAK”, kiedy na jednej sześciodniowej imprezie wykonaliśmy kilka tysięcy zdjęć. Folder nazywa się „CZAK 2011 – Gorzów Wlkp.”. Zawarto w nim podfoldery z nazwami dat. Dla przykładu, plik o nazwie „2011, 08, 23” (można jeszcze dopisać „wtorek”) ma jeszcze podfoldery dla każdej zwiedzanej miejscowości: numer kolejny z nazwą miejscowości: „1 Miedzyszcz”, „2 Pniewo”, „3 Sieniawa” itd. W każdym takim folderze zgrupowane są wykonane zdjęcia i ewentualne inne pliki związane z daną miejscowością. Poprawione zdjęcia programem do obróbki zdjęć zachowują pierwotną nazwę, a ewentualne wycinki tych zdjęć zachowują też pierwotną nazwę z dodaniem liter a, b itd. Do tego folderu dodaję folder „1024x768”, zawierający zdjęcia o zmniejszonej rozdzielczości, używanej do zmontowania zestawu programem PowerPoint lub innym. Do dużego folderu „CZAK 2011” dodaję zmontowany zestaw w wersji roboczej ppt (dostępny dla ewentualnych poprawek) i gotowy pps. Wyrzucam tymczasowo przygotowane pliki, dodaję jeszcze plik do wydrukowania okładki i inne związane z opracowaniem zestawu. Taki folder zapisuję na dysku zewnętrznym „Archiwum”. W przyszłości komputer prawie momentalnie odnajduje żądany folder z datą lub nazwą miejscowości. Podobnie zgrupowane w większym folderze są inne imprezy lub wycieczki. Dla przykładu, „KFK-ZG-PTTK” – Komisja Fotografii Krajoznawczej ZG PTTK (Forum, nadanie nazwy W. Dońca, plenery itd.) lub „KKiOP” – Klub Krajoznawstwa i Ochrony Przyrody (wycieczki, wystawy i inne imprezy). Wszystkie foldery (z podfolderami), które powstały w 2011 r., zgrupowane są w jednym dużym folderze „2011”.

Poniżej opiszę, jak postępuję z zdjęciami flory i fauny, których w swym zbiorze mam już 12 tysięcy. Początkowo folder nazywał się „Flora”. Właściwiej byłoby użyć „Rośliny”, ale do nazw folderów i plików nie używam polskich liter, bo gdybym chciał swoje „Archiwum” otworzyć w Niemczech, komputer nie rozpoznałby folderu lub pliku. Od początku lat 70. ub. wieku zacząłem zbierać zdjęcia roślin dziko rosnących w Polsce, Niemczech, Czechach, Słowacji i Węgier. Zastanawiałem się, jak nazywać je i uporządkować. Każda roślina ma nazwę łacińską, ale często ma ich kilka (tzw. synonimy). Rośliny zacząłem oznaczać przy pomocy klucza „Rośliny Polskie” (W. Szafer, St. Kulczyński, B. Pawłowski). Gatunki mają tam nazwy łacińskie i polskie, a ponadto ponumerowano od 1 do 2188. Jednak klucz powstał w granicach Polski sprzed 1945 r. Autorzy często nie byli pewni, czy opisana roślina występuje w jej obecnych granicach, dlatego nie nadano jej numeru. Gdy jednak taką roślinę fotografowałem (np. Czarnuszka damasceńska – 344,1-k01, 344,1-w01, 344,1-w02), otrzymała ona numer poprzedniego gatunku z dodaniem kolejnej cyfry po przecinku. Często taka roślina otrzymała kilka zdjęć: pokrój (w), kwiaty (k), liście (l), owoce (o) i inne cechy (i). Po numerze rośliny umieściłem poziomą kreskę i kolejny numer zdjęcia.

Po ośmiu latach spotkałem innego zbieracza zdjęć roślin z Wrocławia, który, o dziwo, zastosował podobny sposób opisywania zdjęć. Gdy w 1978 r. na szkoleniu Instruktorów Fotografii Krajoznawczej ogłosiliśmy nasze *odkrycie*, inni też zastosowali podobny sposób opisywania. Gromadząc zdjęcia według takiej numeracji, wystarczyło w Kluczu „Rośliny Polskie” odszukać numer i w ciągu dwóch minut dotrzeć do odpowiedniego numeru zdjęcia.

Będąc w terenie z aparatem fotograficznym trudno przejść obojętnie obok napotkanego motyla lub innego zwierzęcia. Nic prostszego jak postępować z nimi podobnie. Pierwszymi zwierzętami

stały się motyle, jednak nie był tu dostępny polski klucz do oznaczania ich gatunków. Istniejące atlasy zawierały tylko bardzo małą część motyli występujących w Polsce, a szczególnie motyli nocnych, których jest chyba cztery lub pięć razy więcej niż dziennych. Tu przyszedł z pomocą entomolog z Katowic, który wprawdzie również nie miał wykazu motyli występujących w Polsce, ale miał wykaz rodzin. Ponumerowano więc rodziny od 01 do 69, a odkryte gatunki w tej rodzinie dopisaliśmy, nadając numer rodziny i po przecinku numer kolejny gatunku: 01, 02 itd. Jeżeli w rodzinie było więcej niż 99: kolejno 001, 002 itd. Dopiero w 2005 r. udało mi się kupić atlas „Motyle dzienne” Tristana Lafranchis, obejmujący motyle dzienne polskie i europejskie. Nareszcie miałem pełny wykaz motyli przynajmniej dziennych, a w zasobie posiadałem już ponad 400 zdjęć. Postanowiłem zrobić porządek przynajmniej z motylami dziennymi. Na nowo wykonałem wykaz, zastępując numery rodzin od 60 do 69 numeracją od 101 do 122, dopisując po przecinku następny gatunek już w porządku systematycznym autora albumu. Ponieważ w zapiskach dotychczas stosowana była stara numeracja, a przecież nie pamiętam, gdzie opisywałem motyle dzienne z poprzednią numeracją. Klucz do przenumerywania oczywiście zachowałem. Mając stary numer łatwo mogę odnaleźć, pod jakim numerem ten motyl teraz figuruje i odwrotnie. Wreszcie mogłem przystąpić do przenumerywania zdjęć z zasobu i przy okazji do powtórnego sprawdzenia właściwego oznaczenia określonego gatunku.

Wydaje się, że już wszystko opisałem. Jednak mój zbiór, zawierający obecnie 12 tys. zdjęć, nazywa się „Natura”, bo obejmuje następujące foldery: „Flora bez storczyków”, „Gady i płazy”, „Grzyby”, „Mchy”, „Mieczaki”, „Minerały, skały i skamieliny”, „Motyle”, „Chrzaszczki”, „Owady inne”, „Porosty”, „Ptaki”, „Ryby”, „Słuzoroslą”, „Ssaki”, „Stawonogi”, „Pajeczaki”, „Storczyki”, „Wątrobowce” i „Inne”. Każdy folder zawiera zdjęcia i wykaz motyli jako plik Excela xls, a taki folder ma swoją historię powstawania na zasadach, jakie już wyżej opisywałem. Wszystkie zdjęcia są w rozdzielczości 1024x768 (wchodzą w niej do zestawów). Do oryginału (w dużej rozdzielczości) dojdę, gdy kursorem najeżdżam na brzeg nazwy zdjęcia. Wtedy pokazuje się: data i godzina wykonania zdjęcia lub skanowania przezroczy, a dalej dojdę do oryginału zdjęcia, jak to już poprzednio opisałem, a w pliku „notatki” – miejsce wykonania. W „Archiwum” mogę też dojść do oryginału zdjęcia, podając do wyszukiwarki numer gatunku, dojdę wtedy do zdjęcia wraz z folderem, w którym się znajduje.

Następnym razem opiszę, jak wygląda „Wykaz gatunków”, który jest tak wykonany, aby mi ułatwiał oznaczanie fotografowanych zdjęć i ich odnajdywanie w zbiorze.

Cdn.

Henryk Hadasz

Z zielnika Rostafińskiego (24)

Piwonia (*Paeonia officinalis*); hodowana

- Kurzenie z nasieniem lekarstwem dla ludzi obłąkanych
- Korzeń i nasiona lekarstwo dla opętanych
- Zapach kwiatu poronienie sprządza, czary i gusła.

Pokrzywa (*Urtica dioica*)

- Niepłodnym niewiastom
- Kury jedząc ją niosą cały rok
- Gąsienią jedząc ją zdychają
- Do rąk pomazanych sokiem pokrzywy i rozchodnika włożonych w staw, ryby idą jak do sieci
- Korzeń przyłożony na lewy bok leczy nabrzmiałość śledziony
- Okłady z soku chronią od poronienia
- Korzeń morzy robaki w zębie i usuwa ból

Polej (*Mentha pulegium*); krajowy

- Noszony w wieńcu na głowie uśmierza jej ból
- Z wodą warzony daje napar, który macicę kurczy i wrota żywota niewieście stula, jeżeli są przestronne
- Na kręcz (wykręcenie nogi) lekarstwem
- Woń szkodliwa brzemiennym

Królewna Marianna prowadzi po swoim szlaku

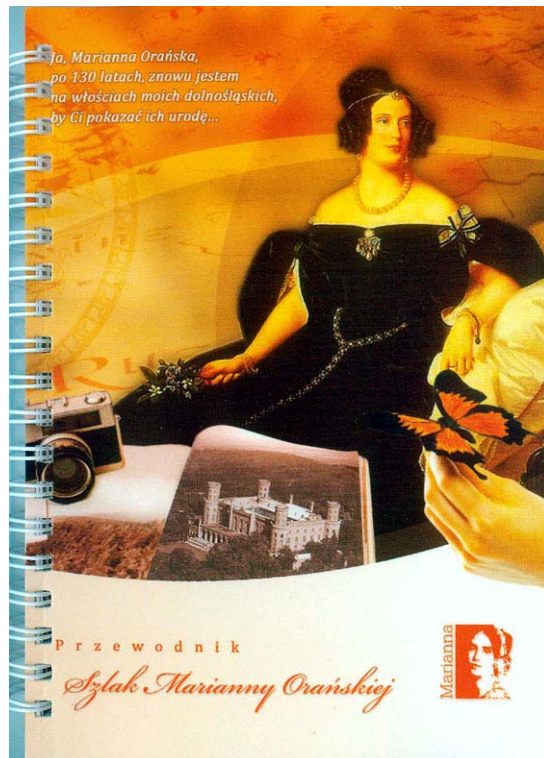
Nigdy nie przypuszczałem, że publikując w 2000 r. (dwa wydania) po kilkunastu latach pracy swoją książkę „Miłość i dramaty królowy Marianny”, z której teraz tak śmiało czerpią inni autorzy, postać Marianny Orańskiej stanie się niezwykle popularna na Dolnym Śląsku i Ziemi Kłodzkiej – także znana i poza tymi regionami. Kilka placówek otrzymało jej imię, powstało Stowarzyszenie Sympatyków Marianny Orańskiej, z inicjatywy starosty ząbkowickiego i przy konsultacji autora wytyczono drogowy Szlak Marianny Orańskiej.

Właśnie temu ostatniemu poświęcono przewodnik, którego oryginalną koncepcję opracował Grzegorz Achram. Otóż przez malownicze tereny i atrakcyjne miejscowości związane z królową Marianną oprowadza... sama królowa! Robi to płynnie, zajmująco i z dozą humoru, czyta się więc dobrze, a wrażenia wzmacniają liczne ilustracje. To pierwsza część, opisująca dwanaście etapów tego najnowszego szlaku kulturowego w Polsce, bardzo dobrze wytyczonego. W drugiej przedstawiono związane, typowo przewodnikowe informacje o poszczególnych miejscowościach. Całość uzupełnia bogate kalendarium i informacje praktyczne. Na rozkładowej tylnej okładce zamieszczono uproszczoną, ale sensowną mapkę szlaku, który przebiega tak po polskiej jak i czeskiej stronie. Dobry papier, kieszonkowy format i „spiralka” tworzą korzystny efekt funkcjonalny. Trzeba też dodać, że wyszły ponadto wersje obcojęzyczne: angielska, czeska i niemiecka.

Recenzent musi też wskazać na usterki. Są one niezbyt liczne (w tym literówki i interpunkcja), ale jako że praca nad przewodnikiem – według wybitnego ich twórcy Janusza Czerwińskiego, zaczyna się przy drugim wydaniu, to warto je wskazać, powinny się przydać. Wskażmy więc istotniejsze. I tak, Kamieniec Ząbkowicki kupiła nie rodzina Marianny (s. 4), lecz jej matka – Prusaczka, co było formalnym, ważnym czynnikiem. Tamtejszy pałac spalili żołnierze radzieccy nie w 1945 r. (s. 12), lecz w styczniu 1946 r., o czym mowa na s. 25. W rzymskiej Villi Cellimontana Marianna przebywała tylko na początku swojego samodzielnego życia a nie stale sezonowo (s. 25). Mąż Albrecht nie mógł jej wyzywać od luteranek (s. 28), jako że była ona – jak i on zresztą, wyznania ewangelicko-reformowanego. Łądek-Zdrój na Dolnym Śląsku brzmi fałszywie (s. 40), skoro wcześniej i później mowa o nim jako leżącym w Hrabstwie Kłodzkim (*nota bene*, należy pisać małymi literami, jak np. księstwo świdnickie – to błędne upodobnienie do niemieckiego Grafschaft Glatz) lub na Ziemi Kłodzkiej. I do znudzenia (w całym tekście) – Śnieżnik ma 1426 m! Chyba przypadkowym potknięciem jest wzmianka o budowie zboru w Międzyzlesiu (s. 75), skoro zaraz po tym (i dalej) pisze się o zborze (ewangelickim) jako społeczności, gminy parafialnej. Szkoda, że nie oznaczono (s. 90 i dalej) położenia miasta Javorník – polskiego Jawornika, konkretnie na Śląsku. Warto używać polskiej nazwy Jesioniki przy czeskiej formie Jeseniki (s. 91). Na s. 115 opis kościoła w Nowej Wsi myląc zamieszczono w Międzyzlesiu.

Na zakończenie – tylko pogratulować pomysłu i realizacji! Owe cztery edycje koniecznie trzeba zgłosić na Ogólnopolski Przegląd Książki Turystycznej i Krajoznawczej, mało tak udanych pozycji mają turyści do dyspozycji. Oby tylko była łatwo dostępna!

Tomasz Pawługa: *Przewodnik. Szlak Marianny Orańskiej*. (Ząbkowice Śląskie: Powiat Ząbkowicki)[2011], 126 s. ISBN 978-83-61742-28-9.



Krzysztof R. Mazurski

Trzy książeczki o Dolsku

Dolsk liczy 1500 mieszkańców i należy do najmniejszych miast w woj. wielkopolskim. Leży on na starym szlaku drogowym z Poznania przez Gostyń na Śląsk (krótszym od obecnej drogi krajowej nr 5), a na kartach historii pojawił się w 1136 r. Aż do rozbiorów był ośrodkiem dóbr i jedną z rezydencji biskupów poznańskich. Wyróżnia go malownicze położenie w głębokiej rymnie polodowcowej, na przesmyku między jeziorami. Znany jest z dalekich widoków, rozciągających się z okolicznych wzniesień. Miasteczko w 2009 r. obchodziło 650-lecie nadania praw miejskich. Organizatorzy jubileuszu zadbali, aby po tej rocznicy pozostały wartościowe książki – co nie jest obecnie częstym zjawiskiem. Możemy więc korzystać z trzech ciekawych tytułów, pokazujących przeszłość i teraźniejszość wspomnianego ośrodka.

Na jubileusz ukazał się reprint pierwszej obszerniejszej publikacji o mieście z 1857 r. Napisał ją pod koniec życia ks. Jan Jabczyński, wyższej rangi poznański urzędnik kościelny, który urodził się w Dolsku i chciał w ten sposób *przysłużyć się ziomkom*. Praca zawiera głównie teksty wielu dawnych dokumentów wraz z odpowiednim komentarzem, w tym przywileju lokacyjnego Kazimierza Wielkiego z 1359 r. i powtórnego dokumentu Władysława Jagiełły z 1403 r. Starannie wydana książka, w twardej oprawie, może być ozdobą każdej biblioteczki.

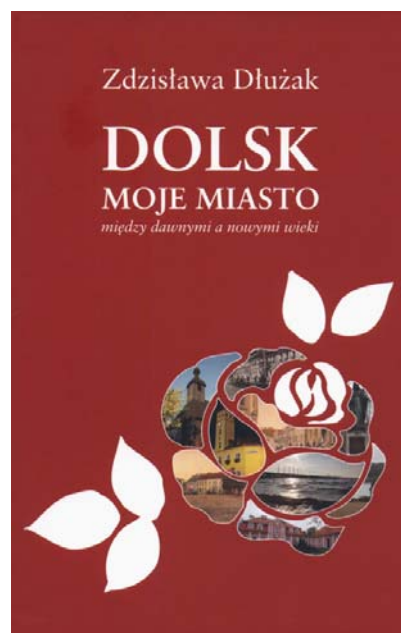
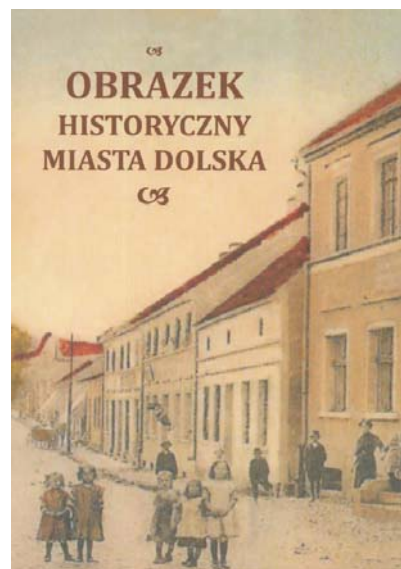
Druga publikacja nie jest reprintem, tylko złożonym dawnymi czcionkami powtórzeniem książeczki z 1902 r. Autor – miejscowy proboszcz – w przedmowie wyraźnie nawiązał do dzieła swego poprzednika i w czterech częściach podzielonych na czternaście rozdziałów przedstawił szereg przyczynków do dziejów miasteczka. Książka nie tylko opisuje zagadnienia z przeszłości, ale przez pokazanie ówczesnego obrazu Dolska jest również źródłem do okresu przełomu XIX i XX w. Cechą charakterystyczną obu wymienionych publikacji są znaczne partie tekstów łacińskich (ich zrozumienie dla czytelników z tamtych lat nie było problemem).

Współczesną publikacją krajoznawczą w pełnym tego słowa znaczeniu jest trzecia książka, napisana przez miejscową nauczycielkę Zdzisławę Dłużak (wcześniej autorkę tomiku o Dolsku w serii „Wielkopolska Biblioteka Krajoznawcza”). Przedstawiła w niej ona wszechstronnie położenie i dzieje miasta, ciekawostki z przeszłości, zabytki i inne obiekty zwiedzania, sylwetki zasłużonych osób, a także dwadzieścia trzy ciekawsze miejscowości w okolicy. W porównaniu z poprzednimi publikacjami ta wyróżnia się licznymi ilustracjami i – co zasługuje na podkreślenie – szczegółowymi mapkami. Koncesją na rzecz inicjatora wydania jest wywiad z burmistrzem Dolska.

Dolsk to mały ośrodek, a zdobył się na trzy publikacje z okazji swego jubileuszu. Wszystkim naszym miastom i miasteczkom życzyć należy takich wydawnictw.

Rys historyczny miasta Dolska i jego okolic [...], wydany przez X. Jana Jabczyńskiego, Kanonika Metropolitalnego Poznańskiego, Poznań 1857 (reprint wydany w 2009 r.), 194 + [2] s.; Obrazek historyczny miasta Dolska. Skreślił ks. Witold Olszewski, proboszcz w Dolsku (reedycja wydania z 1902 r.), Poznań 2009, 129 + [3] s.; Zdzisława Dłużak, Dolsk – moje miasto. Między dawnymi a nowymi wieki, Poznań 2009, 199 + [1] s., il., mapy.

Grzegorz Ratajski



WELCOME

TOURIST

WELCOME TOURIST jest prywatnym biurem zagranicznej turystyki przyjazdowej i tourooperatorem działającym od 1992 roku. Oferujemy szeroki zakres usług i organizacji pobytów w Polsce - w górach, nad morzem i jeziorami. Przygotowujemy imprezy dla grup i turystów indywidualnych. Są to wizyty w dużych polskich miastach, wycieczki objazdowe, specjalne programy studyjne i zlecane nam przez firmy imprezy szkoleniowo-wypoczynkowe.

Nasze biuro oferuje następujące usługi:

- Rezerwacje noclegów w hotelach i pensjonatach
- Przygotowanie wycieczek szkolnych, programów studyjnych i hobbystycznych oraz pielgrzymek
- Organizację rodzinnych pobytów wakacyjnych i imprez turystyki aktywnej
- Organizację konferencji, kongresów i spotkań ludzi biznesu
- Przygotowanie podróży biznesowych (rezerwacje hotelowe, transport, tłumacze)
- Organizację imprez kulturalnych (folklor, koncerty) w ramach imprez turystyki przyjazdowej
- Transfery i wynajem autokarów
- Obsługę pilotów, przewodników i tłumaczy
- Pobyty kuracyjne w polskich uzdrowiskach
- Organizację wycieczek do innych krajów Europy Wschodniej (Słowacji, Republiki Czeskiej, Litwy, Łotwy i Estonii)

Oferując Państwu konkurencyjne warunki współpracy zapraszamy serdecznie do podróżowania razem z nami!



www.welcome-tourist.com.pl



POLISH
INCOMING
TOUR
OPERATOR

Samotnie w góry (2)

innym razem, gdy umówiliśmy się w *Morgance*, byliśmy pewni, iż wszystko pójdzie jak po maśle. Mimo iż był maj, a więc i pogoda dobra, wszystko poszło nie tak, jak powinno. Najpierw ja spóźniłem się o wiele godzin, ponieważ zdawałem wtedy egzamin maturalny. Do Karpacza dotarłem dopiero ostatnim autobusem, czyli było już zupełnie ciemno. Do tego, gdy wysiadałem, zaczął niespodziewanie sypać śnieg. W ciągu krótkiego czasu nasypało go tyle, że miałem trudności, by kontynuować wędrówkę. Pomyślawszy, że wszyscy czekają na mnie, zdałem sobie sprawę, że muszę iść dalej. Wynikało to z faktu podziału prowiantu. Niektóre rzeczy miałem ja, inne oni. Ponieważ podział nastąpił bardzo nierozważnie, wykorzystanie niektórych elementów ekwipunku stawało się niemożliwe: gdy jedna osoba miała maszynki do gotowania, to druga niosła paliwo do nich. Brnąłem dalej, tyle tylko, że ze względu na warunki pogodowe zszedłem z drogi i przedzierałem się na przełaj. Najgorzej było, gdy dotarłem do granicy kosodrzewiny, zasypanej już śniegiem. Przejście to dało się nieźle we znaki. Po ujrzeniu chatki byłem szczęśliwy. Nie zwróciłem wtedy uwagi, że nie widać żadnego światła. Po dotarciu na miejsce okazało się, iż nikogo tam nie było. W pierwszej chwili nie wiedziałem, co robić. Pomyślałem sobie, że może oni zabłądzili, ale po chwili uświadomiłem sobie, że przecież śnieg zaczął sypać dopiero pod wieczór, oni zaś wyruszyli z samego rana. Niemożliwe zatem, by nie zdążyli dotrzeć tu przed załamaniem pogody. Uznałem, że nie ma się co przejmować ich losem, tylko trzeba myśleć, co zrobić, by samemu nie zamarznąć. Nie miałem ognia, było niesamowicie zimno, no i byłem przemoczony. Udało mi się dotrzeć do rana. Pogoda już się ustabilizowała, mogłem wracać do domu. Tam okazało się, iż umówieni ze mną ludzie zmienili zdanie i poszli do innej chatki. Później, gdy zobaczyli, co się dzieje, żalowali swojej decyzji, ale było już za późno i zbyt niebezpiecznie, by próbować dotrzeć do *Morganki*. Wszystko skończyło się wtedy dobrze, ale takie zachowanie jest bardzo niedobre. Raz, że gdy się umawiamy, to należy dotrzymywać danego słowa, dwa, gdy czyni się to w górach to, jak się okazuje, może to zagrozić życiu.

Nieraz samotne wyjścia są niebezpieczne nie tylko w górach. Kiedyś miałem taki dziwny zwyczaj. Pakowałem plecak, szedłem na dworzec PKP i patrzyłem, dokąd odjeżdża najbliższy pociąg. Wsiadałem do niego i jechałem, jakby to powiedzieli dawni harcerze, po przygodę. Któregoś razu pojechałem pociągiem gdzieś w okolice Piły. Wsiadłem na jakimś zadupiu. Był środek nocy, gdzieś kolo pierwszej godziny. Poza budynkiem stacyjnym nie było tu żadnych zabudowań. Na szczęście było w miarę ciepło. Jednak noc okazała się bezksiężycowa, czyli było ciemno jak... No wiecie gdzie. Popatrzyłem na mapę, jest jakiś szlak turystyczny. Zatem ruszam przed siebie. Po chwili, pewnie dla podbudowania mojego nastroju, dochodzę do cmentarza. Niestety, moje samopoczucie nie poprawia się. Wchodzę do lasu i po jakiś 3-4 godz. słyszę jakieś wycie. A tu głucho wszędzie, ciemno wszędzie. Mam wrażenie, że to wilki. Myślę jednak sobie: *głupis, skąd tutaj wilki*. Jednak do końca nie jestem tego pewny. Zatem przyspieszam kroku. Niedługo zaczyna się rozwidniać. W sumie, ponieważ w tamtym czasie nie było takich map, jakie mamy dzisiaj, nie wiem do końca, gdzie jestem. Na szczęście widzę ludzi. To drwale pracujący w lesie. Dzięki nim wiem, jak iść dalej. Docieram do miasteczka, w którym jest stacja kolejowa. Wsiadam do pierwszego pociągu i wracam do domu. Tak to jest, gdy wyrusza się na wycieczkę bez stosownego przygotowania.

Zdarzają się także zabawne sytuacje samotnym wędrowcom. Postanowiłem pochodzić po Wielkopolskim Parku Narodowym. Wsiadłem na małej stacyjce, a że przebiegał tamtędy szlak turystyczny, ruszyłem przed siebie. Pogoda nie była zbyt ciekawa. Ponuro i szaro, jakoś tak dziwnie. Sezon już się skończył, wędrowałem samotnie nie napotykając żadnego innego szaleńca. Dziwnym mi się wydało, gdy co chwilę spotykałem tabliczki ostrzegające przed wściekłymi lisami. Maszerowałem sobie

tak przez cały dzień, a że z domu wyjechałem nocnym pociągiem, poczułem lekkie zmęczenie. Zatem, gdy dostrzegłem budynek z pokojami do wynajęcia, poprosiłem o nocleg. Pani początkowo zdziwiła się, skąd wziął się o tej porze roku turysta. Powiedziała tylko, że będę miał trochę zimno zanim grzejnik elektryczny się nagrzeje. W pokoju było o wiele cieplej niż na zewnątrz. Po obudzeniu się zobaczyłem, że za oknem już świta. Zerwałem się na równe nogi. Miałem bowiem do przejścia sporo kilometrów. Spakowałem się, wszystko powylaçałem i poszedłem do właścicielki, by oddać klucze. Ta szeroko otworzyła oczy, tak była zdziwiona. *Już pan odpoczął? Bo wie pan, zaraz robi się ciemno, a po nocy wędrować to chyba nie najlepszy pomysł.* Po chwili zaczęła się śmiać. Musiałem mieć głupią minę. Okazało się, iż szybko zasnąłem, szybko odpocząłem i obudziłem się już po chwili. A to szare za oknem, co wziąłem za świt, było zmierzchem. Nie pozostało mi nic innego, jak przeprosić za zamieszanie i ponownie udać się na spoczynek. Tym razem obudziłem się o świcie i nie stworzyłem głupiej sytuacji.

Tak to właśnie bywa, gdy na wycieczkę wybieramy się w pojedynkę. Czasami niewiele lepiej jest, gdy ruszamy we dwoje. Na koniec opowiem, co mi się przydarzyło wiele lat temu w Górach Izerskich. Wybrałem się na nocną wycieczkę, tak by do rana dotrzeć do chatki *Walońskiej*. Gdy weszliśmy do lasu, było już zupełnie ciemno. Po chwili pojawił się księżyc. Baterie w latarce nie wystarczyły na długo. Nie spieszyliśmy się za bardzo, gdyż była to naprawdę bardzo ciepła noc. Na niebie świeciły tysiące gwiazd, tak że często siadaliśmy, by na nie popatrzeć. Poza tym trzeba było dobrze uważać na korzenie wystające przy ścieżce. Wszystko nam się wtedy podobało. Zaczynaliśmy przecieć dopiero życie. W pewnym momencie, gdy księżyc schował się i nastąpiła chwila ciemności, zobaczyłem, jak idąca przede mną dziewczyna jakby nagle znikła. Po chwili usłyszałem cichy plusk. Niewiele zastanawiając się wyciągnąłem rękę do przodu i zacisnąłem dłoń. Poczułem, że coś złapałem, pociągnąłem więc w swoją stronę. Wtedy księżyc ponownie oświetlił teren i naprawdę przestraszyłem się. Okazało się, że idąca przede mną dziewczyna zniknęła, gdyż wpadła do dołu po wybranej borowinie. Kto wie, czy by w nim nie została na zawsze, gdyby nie przecucie. Musiałem chwycić jej kurtkę w ostatniej chwili, wtedy właśnie usłyszałem ten plusk. Oboje byliśmy w szoku. Na szczęście, wszystko skończyło się szczęśliwie. A Ania, bo tak miała na imię, została moją żoną i od tej pory chodziliśmy po górach razem. I jesteśmy razem do dzisiaj.

Koniec
Krzysztof Tęcza

"NA SZLAKU" – magazyn turystyczno-krajoznawczy.

Czasopismo Oddziału Wrocławskiego PTTK odznaczone Złotą Honorową Odznaką PTTK.



Redaktor Naczelny: **Krzysztof R. Mazurski**
Sekretarz Redakcji: **Andrzej Rumiński**
Z-ca Sekretarza: **Alicja Jachimowicz**
Zespół Redakcyjny: **Wojciech Radliński**
Redakcja techniczna i opracowanie graficzne: **Piotr Dacko**
Webmaster: **Paweł Rumiński**
Stale współpracują: **Henryk Paciej, Juliusz Wyślouch**



Adres Redakcji: Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław, tel. +48 71-343-03-44

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931

Drukowane numery archiwalne (w miarę posiadania) do nabycia w Oddziale Wrocławskim PTTK.